

ŻOŁNIERZ LEGIONÓW I P.O.W.

Rok II Warszawa, maj — 1938 r. Nr 2

TY WIESZ, ŻE DUMNI NIESZCZĘŚCIEM NIE MOGĄ
ZA INNYCH ŚLADEM IŚĆ TĄ SAMĄ DROGĄ.

* * *

KTO MOGĄC WYBRAĆ, WYBRAŁ ZAMIAST DOMU
GNIAZDO NA SKAŁACH ORŁA: NIECHAJ UMIE
SPAĆ, GDY ŹRENICE CZERWONE OD GROMU
I SŁYCHAĆ JĘK SZATANÓW W SOSEN SZUMIE
TAK ŻYŁEM.

JULIUSZ SŁOWACKI

(Napis na płycie grobowej na Rossie).

JÓZEF PIŁSUDSKI

...Gdy przed trumną stoję, mówić muszę o śmierci, o wszechwładnej pani wszystkiego, co żyje. Wszystko, co żyje, umiera, a wszystko, co umiera, żyło przedtem. Prawa śmierci są bezwzględne. Są jak gdyby stwierdzić chciały prawdę, że co z prochu powstało, w proch się obraca. Gdy kamień na taflę spokojnej wody wrzucamy, powstają kręgi, idące wszerz i zamierające powoli. Tak żyją ludzie, gdy śmierci bramy przepastne przekroczą — kręgi powoli zamierają i nikną, pozostawiając po sobie pustotę, a nawet zapomnienie. Prawa śmierci i prawa życia, związane ze sobą, są bezwzględne i bezlitosne. Żyło ludzi mnóstwo i wszyscy pomarli. Pokolenia za pokoleniami, żyjące codziennym życiem, zwykłym lub niezwykłym, do wieczności przechodzą, pozostawiając po sobie jeno ogólne wspomnienia. Wspomnienia, gdzie imion nie ma i nie ma nazwisk. A jednak prawda życia ludzkiego daje nam i inne zjawiska. Są ludzie i są prace ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przezwyciężają, że żyją i obcują między nami...

...Zda się, że jak gdyby bramy śmierci przepastne za nim zamknęły się nieszczelnie. Dla niektórych ludzi zostają one otwarte, tak, że życie i śmierć się nie rozdziela. Zda się, że są ludzie, którzy żyć muszą dłużej, których życie trwa nie latami, a wiekami, wbrew prawdzie przyrodzenia ludzkiego...

...Twierdzę raz jeszcze, że bramy przepastne śmierci dla niektórych ludzi nie istnieją. Świadczą o prawdzie wielkości takiej, że prawa wielkości są inne, niż prawa małości. Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę i widzę przeszłości gościńce, po której kroczy ludzkość i po których teraz stąpa historia, to widzę umoszczone twarde drogi, które ludzie, pokoleniami idąc w życie i pokoleniami umierając, mościli życiem swoim, tak, jak i śmiercią. Pokolenia, które zostawiły ślady, szkieletami i pracą codzienną i codziennym odpoczywaniem, mościły gościńce trwałe i wieczne. Lecz wszędzie, gdzie gościńce mają skręty, wszędzie, gdzie załomy drogi, gdzie ludzi wahania i gdzie ludzi małych trwoga, stoją na załomach, jak drogowskazy, olbrzymie głazy, świad-

czące o wielkiej prawdzie bytowania. Stoją olbrzymie głazy samotne, lecz z nazwiskami, gdy ludzie giną bezimiennie...

* * *

Miłość Ojczyzny — oto słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą.
Jako żurawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem;
Umrą ich duchy, lecąc przed narodem.

* * *

...Idzie tam, gdzie głazy na naszym gościńcu stoją, świadcząc nieledwie chronologicznie przez imiona o naszej przeszłości. Idzie między Warszawy i Zygmunty, idzie między Jany i Bolesławy. Idzie nie z imieniem, lecz z nazwiskiem, świadcząc także o wielkości pracy i wielkości ducha Polski. Idzie, by przedłużyć swe życie, by być nie tylko z naszym pokoleniem, lecz i z tymi, którzy nadejdą. Idzie, jako Król Duch...

(Z przemówienia w Krakowie na Wawelu z okazji sprowadzenia do kraju prochów Juliusza Słowackiego).

...„Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieszczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czym dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast w świecie! I biegłem ku Wilnu pieszczotliwą myślą, tworząc sam dla siebie pieściwe pieszczoty dziecka. ...Czar, zakuty we wspomnieniach, urok odrodzenia, rzucony w szale tam niegdyś. Wszystko to razem składało się na marzenia człowieka, co nie wie, czy jutro do grobu się nie położy. Minęło lat parę i byłem znowu z wami. I gdym marzył i myślał o Wilnie, w warszawskim Belwederze zamknięty, myślałem także i o was i gdym w bój zawołał, by Wilno zdobyć, was do siebie powołałem: marzyłem, sądziłem, że dwa serca zbratane dadzą mi to, o czym dusza marzyła. Wilno musi być moje. I jak wyście mi na to odpowiedzieli — żywo pamiętam tę chwilę. Wilno w owym czasie, gdy Polska ledwie żyć poczynała, gdy ze wszystkich stron żądano naszej ziemi, dłonie ku niej wyciągano, gdy bitwy na wszystkich ścianach Rzeczypo-

spolitej i wojna trwała, gdy inne państwa już były spokojne, gdy działa u nas grzmiały, gdy tam spokoju już doznali — Wilno dalekie było od myśli i Wilno dalekie było od zakłopotania serca wszystkich. Wyście stanowili najpewniejszego żołnierza, żołnierza, który mnie nigdy w wojsku nie zawiódł, który dał mi wszystko, co żołnierz wodzowi dać musi. Was powołałem. Szła Wielkanocna pora, gdy batalion za batalionem, szwadron za szwadronem do Wilna śpieszyły. I szła pogwarka wśród wiary — Komendant nasz Wilno kocha, na Wielkanoc Wilno w prezencie mu damy... Prezent wspaniały! I gdy myślę, że nie sądząc nawet o ważności Wilna dla nas, jako prezent, jako pieszczota dla serca Komendanta, wieleście mi dali i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rossie u wrót cmentarzy mogiłka za mogiłką leżą, jedna przy drugiej, jak żołnierze w szeregach, ci, co życie dali, by Komendanta serce pieścić, to mówię, że miłem to być musi, i gdy serce swe grobem, poję, serce swe tam na Rossie kładę, by Wódz spoczął z żołnierzami, co mogli tak pieścić dumnego wodza czoło.“

(Z przemówienia na zjeździe legionistów w Wilnie 12.VIII 28)

ORĘDZIE PREZYDENTA RZPLITEJ

Do Obywateli Rzeczypospolitej.
Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył.

Wielkim trudem Swego życia budował siłę w Narodzie, geniuszem umysłu, twardym wysiłkiem woli Państwo wskrzesił. Prowadził je ku odrodzeniu mocy własnej, ku wyzwoleniu sił, na których przyszłe losy Polski się oprą. Za ogrom Jego pracy danem Mu było oglądać Państwo nasze, jako twór żywy, do życia zdolny, do życia przygotowany, a Armię naszą — sławą zwycięskich sztandarów okrytą.

Ten największy na przestrzeni całej naszej historii Człowiek z głębi dziejów minionych moc Swego Ducha czerpał, a nadludzkim wytężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał.

Nie Siebie tam już widział, bo dawno odczuwał, że siły Jego fizyczne ostatnie posunięcie znaczą. Szukał i do samodzielnej pracy zaprawiał ludzi, na których ciężar odpowiedzialności z kolei miałby spocząć.

Przekazał Narodowi dziedzictwo myśli o honor i potęgę Państwa dbałej.

Ten Jego Testament, nam żyjącym przekazany, przyjąć i udźwignąć mamy.

Niech żałoba i ból pogłębią w nas zrozumienie naszej — całego Narodu — odpowiedzialności przed Jego Duchem i przed przyszłymi pokoleniami.

Prezydent Rzeczypospolitej
I. MOŚCICKI.

Warszawa-Zamek, dnia 12 maja 1935 roku.

STANISŁAW WITKIEWICZ

JÓZEF PIŁSUDSKI

Piłsudskiego nikt nie mianował. W chwili Jego wystąpienia na widownię polskiego życia nie było żadnej, wyższej od Niego władzy w Polsce. Nikt nie mógł Go upoważnić do spełnienia Jego czynu, ulegalizować Jego władzy, potwierdzić Jego pełnomocnictwa i nakazać posłuchu Jego rozkazom.

Piłsudskiego „kariera" rozpoczęła się od spiskowania przeciw przemocy i despotyzmowi rosyjskiemu, przeciw przemocy i niesprawiedliwości społecznej.

Agitacja słowem, czynem i drukiem, organizacja szeregów robotniczych, drukowanie tajnych pism, gromadzenie ludzi zdolnych do walki, ich przygotowywanie fizyczne i psychiczne do spełniania nieraz strasznych czynów. A jednocześnie więzienia, ucieczki, Sybir i znowu ucieczka i zawsze uparty, niczym niezachwiany hart duszy i powrót do roboty, do ogniska rewolucji.

Życie Piłsudskiego było ciągłym ocieraniem się o szubienicę, ciągłym nadstawianiem szyi pod pętlę stryczka.

Niesłychan odwaga, zimna krew, czujny i bystry umysł i genialna przebiegłość spiskowca ocaliły Go — na szczęście!

I On rzeczywiście jest tym pierwszym żołnierzem.

Myśli i pragnienia walki z Rosją, rozprószone, pozbawione twórczej mocy, istniały. Mówiono naiwnie o „powstaniu“, nie wiedząc, jakie ono być może.

Dopiero Piłsudski sformułował ściśle te dążenia, ujął w formy konkretne, praktyczne, które ludziom trzeźwym wydawały się szaleństwem lub głupstwem.

Zmilitaryzować Polskę, zorganizować, stworzyć polską armię, gotową w każdej chwili do walki, dającą się zmobilizować, jak każda inna, skoro ułożą się odpowiednie warunki polityczne. Warunki te znalazły się.

Armia polska walczy i Piłsudski jest na jej czele. Tacy ludzie, jak Piłsudski, działają na ludzkie dusze jak soczewka na rozproszone promienie słoneczne, skupiając je w jedno ognisko i wywołując wybuch ognia. Podobnie Piłsudski skupił, zogniskował wybuch czynu — Strzelców! Na ich czele znalazł się On z prostej konieczności, jako ich twórca. Stał się wodzem przez swoją własną moc, jego władza jest wynikiem tego, że On jest wcieleniem ducha, wiodącego do walki tych nowych polskich żołnierzy.

Rzeczywistość i legenda wyznaczyły Mu w historii polskiej miejsce, z którego nie może Go usunąć żadna władza, żadne normy hierarchii wojskowej.

On jest i będzie na zawsze rzeczywistym wodzem Polskich Legionów.

(Pisane 12 lipca 1915 roku w Lovranie).

EDWARD ŚMIGŁY-RYDZ

JÓZEF PIŁSUDSKI JAKO WÓDZ*)

Historia wojen, to dziwna księga! Poprzez niezliczone szeregi nazw, miast, wsi i rzek, pomiędzy kolumnami cyfr, wyliczającymi ilość oddziałów, bagnetów, szabel, dział, oznaczającymi przemaszerowane kilometry lub wykazującymi doniesioną i wystrzeloną amunicję, między sumami zdobytych jeńców i materiałów a zestawieniami zabitych i rannych przewija się stale, jako zasadniczy motyw ,ożywiający te cyfry, duch człowieka. Nabrzmiewają one siłą lub są biedne słabością człowieka; jego wysiłek wydobywa na światło dzienne z wiekowego ukrycia nazwę jakiejś od Boga zapomnianej wioszczyny — jakiś lasek, o którym tylko ptactwo wędrowne pamiętało, stało się przeszkodą, na której potyka się i upada cały ogromny naród. Nazwa tego lasku staje się skoncentrowanym bólem milionów serc, jeden wyraz mieści w sobie tragedię wielu pokoleń.

Historia wojny, to historia wysiłku umysłu i woli człowieka, przemawiająca stosami trupów, ruinami i zgliszczami, ale i hymnami wolności i powstającymi na nowo kulturami. Bez względu zaś na ilość wojsk, biorących udział w wojnie, ponad całym zespołem ludzkim widnieje zawsze wielkość lub małość jednego człowieka - Wodza. On tą swą wielkością lub małością wyciska piętno na pracy ich wszystkich. Jego wielkość nadaje kształt nieśmiertelny bohaterstwu podkomendnych, zasłania i zakrywa ich słabość i niedociągnięcia, jego zaś małość zabiera blask bohaterstwa, okrywając je żałobą. Ma on w ręku władzę nadawania ciężaru gatunkowego i wartościowania życia i śmierci swych żołnierzy.

Czyż może być straszliwsza i piękniejsza władza? Historia wojny, to historia tej władzy. Rozumowanie i kalkulacja wielkiego wodza, odzwierciadlającego drogi, którymi mózg jego badał rozmaite możliwości zwycięstwa, bywają imponujące swą przenikliwością i bystrością lub intuicją. Są one jednak o wiele ja-

*) Wyjątek z książki Marszałka Śmigłego - Rydza „Byście o sile nie zapomnieli".

śniejszą, zrozumialszą i łatwiejszą do odczytania kartą, aniżeli jego stany psychiczne, tajemne motory jego woli decydującej, siły jego osobistości, czuwające nad wykonaniem decyzji i wyzwalające energię, wiarę i zaufanie u podkomendnych.

Moc władania duszami ludzkimi, siła przekonywania nie formułowanymi argumentami, ale osobistością i siłą z niej płynącą — jest nieodzowną cechą każdego wielkiego wodza. Ta siła działa na najbliższych, promieniuje na masy, rozszerza się, przezwyciężając przestrzeń i czas. Przezwycięża ona stawiające jej opór najzimniejsze i najbardziej przemyślane rozumowania, podbija i zdobywa.

Jesteśmy tymi szczęśliwymi żołnierzami, których udziałem stało się zwycięstwo pod dowództwem Wielkiego Wodza Józefa Piłsudskiego. Jesteśmy żołnierzami, którzy mogli uczyć się wojny, gotowi za każdą jej naukę płacić cenę krwi, i życia, i śmierci żołnierza. Mieliśmy sposobność bezpośredniego śledzenia i obserwowania działania osobistości wodza na wojsko.

Można się uczyć rozumowania, logiki, sposobu posługiwania się analizą — tajemnicę działania na ludzi trudno sformułować, trudno się jej nauczyć. Przejawy tej zdolności są tak indywidualne, tak rozmaite, niespodziane, a nawet kapryśne, a tak równocześnie w swej całości potężne, że przejąć je, naśladować, staje się niemożliwe. Działania tej zdolności nie da się wytłumaczyć osiągniętymi wynikami, ona istnieje i działa, zanim te wielkie wyniki staną się jej potwierdzeniem i zwiększą ją. Znamy z historii wodzów, którzy pod tym względem starali się naśladować swych wielkich poprzedników. Ale naśladowali tylko zewnętrzne przejawy siły, której nie posiadali i stawali się małymi, ośmieszającymi się aktorami.

Józef Piłsudski miał szczególnie trudne warunki dowodzenia. Musiał dowodzić organizującą się armią bez tradycyji, bez polskiej jednolitej przeszłości. Rozmaitość szkół wojskowych, największa mieszanina zasad wychowawczych, wykolejenie, spowodowane przejściami wojennymi w armiach zaborczych, to wszystko składało się na aparat o mechaniźmie skomplikowanym, zgrzytliwym, w którym jedno kółko łamało zęby drugiemu, którego funkcjonowanie nagle ustawało z niewiadomo jakich przyczyn.

Aparat ten robił chwilami wrażenie złośliwego figla, jakiegoś chochlika, który się wplątał w nurt dziejów narodu, by go mącić. I sama kalkulacja strategiczna, praca mózgu, nie potrafiły uruchomić tego aparatu. Armia polska dopiero pod działaniem obosistości swego Wodza Naczelnego, pod wpływem tych niezdefiniowanych Jego sił wewnętrznych, idąc z jednego pola bitwy na drugie, stawała się powoli armią jednolitą, której poszczególni ludzie, zaczynali się powoli rozumieć i zaczynali rozumieć swego wodza.

Piłsudski zdaje sobie sprawę z siły i zasięgu działania swej osobistości. Posługuje się nią, stwarza najlepsze warunki dla jej działania tam, gdzie rozgrywają się najważniejsze operacje wojenne. Widzimy go przebywającego zawsze wśród wojska wtedy, gdy to wojsko ma największe trudności do pokonania, gdy szczególnie wielkie zadanie jest do spełnienia. Akcja na Wilno, wyprawa kijowska, ciężki okres odwrotu z Ukrainy, uderzenie z nad Wieprza, bitwa niemeńska, uruchomienie ostatniej operacji wojennej, doprowadzającej nas do dzisiejszej granicy państwowej — wszystkie te operacje są wynikiem nie tylko pomysłu strategicznego, ale równocześnie skutkiem działania na wojsko osobistości Naczelnego Wodza. Wpływ ten moralny uzyskał przeszkody, podniecał, zachęcał, w razie potrzeby groził. Płaszczyzna jego przejawów szeroka — formy przejawiania się ogromnie różnorodne, na wskroś osobiste.

Oto słowa Jego, opisujące jeden z przejawów działania osobistości: „Dojeżdżam do baterii. Czemu milczą? Czemu? Amunicji nie ma! Posłać do Skrzybowiec, a tymczasem sam was poprowadzę, tę jedną baterię, która ma jeszcze czym strzelać. Niechętna, strwożona bateria musi iść za mną. Owionął mnie nagle znany, dawno słyszany gwizd, śpiew kul. Kule śpiewają śpiew śmierci. Duszo wojenna, jakże ty złożona jesteś!“. Albo: „Na moście żegnam idącą kawalerię. Moją pracą było dodać im otuchy, zaświadczyć, że jestem z nimi ciągle duchowo obecny, że wraz z nimi biorę udział w każdej akcji. Przyjemnie mi było zeznać, że moja obecność dodawała ducha żołnierzom, każdy szwoleżer czuł mnie przy sobie.“

Wódz Naczelny zjawiał się w kwaterach głównych dowódców, by wyjaśnić i usunąć nieporozumienia, zachęcić lub energiczną interwencją zmusić do wykonania swych decyzyj — ale rów-

nież maszerował z przednimi oddziałami, mającymi bezpośredni kontakt z nieprzyjacielem, wypytywał młodego podporucznika, idącego w szpicy, rozmawiał z rekrutem, słyszącym po raz pierwszy świst kul.

Pomimo rozwoju techniki wojennej i złożoności aparatu wojennego, mimo rozrastania się wojsk w milionowe armie, dusza wodza zawsze znajdzie drogę do duszy żołnierza, a wódz, który tej drogi nie potrafi odnaleźć w dzisiejszym skomplikowanym mechaniźmie wojskowym, nie znajdzie też drogi, prowadzącej do zwycięstwa.

1928 r.

KAZIMIERZ SOSNKOWSKI

UCZYŁ NAS KOMENDANT...

Gdy wspominam te dawne lata, widzę siebie wpatrzonego w piękną i szlachetną twarz Komendanta. Widzę w sobie nie tylko cześć, podziw i absolutny posłuch, lecz przede wszystkim miłość i przywiązanie.

Byłem przecież Jego dzieckiem duchowym. On stworzył mnie tak, jak stworzył nas wszystkich Piłsudczyków. W Jego osobie widziałem personifikację marzeń o Wodzu. Jego prace i wysiłki dawały zaspokojenie najgłębszych tęsknot całego pokolenia ówczesnej, pokrewnej mi ideowo młodzieży. O ile kiedykolwiek udało mi się zrobić coś pożytecznego dla Polski, zawdzięczam to ziarnu, jakie On rzucił w moją duszę.

Komendant był naszym niestrudzonym nauczycielem i wychowawcą. Ten Wielki Człowiek, który tak wiele już w życiu swym wydźwignął, nie zawahał się zejść pomiędzy młodzież, współżył z nią w osobistym kontakcie, rzucał w jej duszę ziarna pod przyszłe żniwa.

Przygotowując młodzież do wysiłków woli, Komendant dbał o to, by jej dać zaprawę moralną, przedsmak przyszłych niebezpieczeństw. Każdy członek Związku Walki Czynnej, udający się na wakacje do zaboru rosyjskiego, otrzymywał rozkaz przepro-

wadzenia pewnych prac, mających na celu rozpoznanie ważniejszych obiektów wojskowych i komunikacyjnych. Prace powyższe Komendant zadawał osobiście. Ich cel był raczej wychowawczy, aniżeli praktyczny. Zwykle w miesiącach letnich udawałem się nielegalnie do Królestwa, by dokonać inspekcji tych prac, miałem więc możność zaobserwować hartujący wpływ metod Komendanta na charaktery ludzkie.

Umiał Komendant szybko i trafnie oceniać ludzi, zużytkowywać ich uzdolnienia zależnie od cech indywidualnych jednostki. Sam o sobie mówił, że potrafi „wycisnąć człowieka jak cytrynę". Będąc głębokim znawcą natury ludzkiej miał niezwykle pewną rękę w prowadzeniu innych. Z licznych rozmów z Komendantem wiem, iż sposób zużytkowania poszczególnych ludzi spośród kadry strzeleckiej był w znacznej mierze przemyślany i postanowiony już przed wojną, nie było zaś wśród piłsudczyków bodaj nikogo, który by się czuł w Legionach źle użyty.

Posiadał Komendant umiejętność tworzenia z drobnych początków rzeczy wielkich — siłę realizacji, opartą o realną rachubę i o potęgę własnego charakteru.

Jedną z cech geniuszu Komendanta był jego prawie transcendentalny dar przenikliwości. Dar ten, będąc jak gdyby mieszaniną rachuby i natchnienia, stanowi jeden z najistotniejszych atrybutów prawdziwego, urodzonego Wodza.

Każdy wykład Jego był prawdziwym zdarzeniem. Sugestywność Jego myśli była olbrzymia. Już wówczas uwydatniła się owa przedziwna właściwość Komendanta, znana nam tak dobrze z czasów późniejszych — dar zdobywania serc i dusz żołnierskich.

Uczył nas Komendant przede wszystkim, że na polu walki decydują siły moralne wojska i charakter dowódców. Wychowani w tym duchu potrafiliśmy dowieść, że tak jest w istocie. Pierwsze swoje starcia żołnierz legionowy odbywał, mając w ręku przestarzały, mało donośny karabin przeciwko nowoczesnej, szybkostrzelnej artylerii. Przez cały rok 1914 walczyliśmy w szeregu krwawych bitew, przeciwko wielokrotnej przewadze przeciwnika, nie mając ani dział, ani karabinów maszynowych. W tych warunkach legioniści umieli podtrzymać honor polskiego imienia, a nawet zwyciężać.

Uczył nas dalej Komendant, że dbałość o żołnierza i opieka nad nim stanowią jeden z głównych obowiązków dobrego dowódcy: gdzie nie ma spełnienia tego warunku, tam cierpi stan moralny wojska, a więc zanika naczelny czynnik jego siły. Jak pięknie w polu Komendant demonstrował nam realizację tej zasady i w życiu codziennym wojska i podczas bitwy! W moich oczach, boje I Brygady stanowią przykład, jak wiele zaoszczędzić można trudu i krwi żołnierskiej, spełniając przy tym wszystko, co nakazuje obowiązek i honor. Żołnierz legionowy czuł nad sobą nieustanną i czujną opiekę Komendanta — darzył Go też wzamian miłością i bezgranicznym zaufaniem.

Za jedną z najbardziej zastanawiających cech Komendanta, jako Wodza, uważam osobiście Jego zdolność wyzwalania, jeszcze ściślej — pomnażania energii duchowej u tych, kogo brał we władanie. Będąc sam zbiornikiem niezwykle skoncentrowanej i nieugiętej woli, nie znając dla siebie żadnych przeszkód i trudności, umiał drogą oddziaływania ideowego i uczuciowego doprowadzić człowieka, którego sobie upatrzył, do tego, iż człowiek ten przyjmował z Jego ręki najcięższe zadania, usuwając na bok wszelkie wahania i wątpliwości. Współpracownik Komendanta w zetknięciu z Nim zapominał o zwykłym, pospolitym „nie mogę", „nie potrafię" — brał się za bary z powierzonym mu zadaniem i najczęściej, ku swemu zdumieniu, przekonywał się, że może i potrafi więcej, aniżeli przypuszczał. Zwycięstwa moralne, odnoszone nad samym sobą, sukcesy pracy, kierowanej z góry baczną i mądrą ręką, wzmacniały w każdym współpracowniku i żołnierzu Komendanta wiarę w siebie, w swoje siły, pomnażając jego energię i zdolność do wysiłków.

(Wyjątek z książki Wrzosa: „Piłsudski i Piłsudczycy").

SŁAWOJ SKŁADKOWSKI

ZDOBYCIE MIŃSKA

W gorący dzień letni, 1919 roku, wdzierała się II dywizja Legionów do bronionego przez bolszewików Mińska.

Do południa trwały jeszcze walki na ulicach z ustępującym powoli nieprzyjacielem.

Ledwieśmy roztasowali kwaterę Dowództwa Dywizji w jednym z lepszych hoteli miasta, gdy rozeszła się wieść, że przyjechał Komendant.

Wyglądamy przez okno, rzeczywiście przed hotelem stoi duże auto, zakurzone z dalekiej drogi. Wybiegamy z pokoju na korytarz i spotykamy na schodach Komendanta, zakurzonego i zmęczonego, ale wesołego i zadowolonego ze zdobycia Mińska.

Z korytarza, Komendant idzie w towarzystwie generała Roji i szefa sztabu dywizji Piskora, do dużej sali, w której ma odbyć się odprawa ze sztabem naszej dywizji.

Przechodząc obok mnie, Komendant podaje mi rękę, mówiąc: „Co słychać, doktorze?"

Naturalnie jest to tylko pytanie życzliwe, które ma zostać bez odpowiedzi, gdyż cały czas Komendant zajęty jest sprawą zorganizowania pościgu za bolszewikami.

W chwilę po Komendancie przyjeżdża na odprawę generał Konarzewski, dowódca dywizji poznańskiej, która weszła razem z nami do Mińska.

Oczywiście, wobec Komendanta, przedstawiciele każdej z dywizyj, a więc naszej — legionowej i poznańskiej, twierdzą, że pierwsza weszła do Mińska ich dywizja.

Komendant śmieje się z tego lokalnego patriotyzmu i szybko wydaje krótkie rozkazy, mające na celu odcięcie odwrotu bolszewikom, cofającym się wzdłuż dwóch linij kolejowych, biegnących z Mińska w kierunku Borysowa i Bobrujska.

Odprawa trwa zaledwie pół godziny, po czym Komendant, odprowadzany przez nas do samochodu, odjeżdża z Mińska na inny odcinek frontu.

Było to jedyne moje spotkanie z Komendantem na froncie.

Utkwiło mi ono w pamięci na całe życie, ze względu na wyraz twarzy Komendanta.

Nigdy później, w czasie największych triumfów politycznych nie widziałem tyle ognia, radości i satysfakcji w oczach Komendanta, jak wtedy w Mińsku, w chwili montowania pościgu, mającego zniszczyć nieprzyjaciela, cofającego się ze zdobytego przez nas miasta.

Żywiołem Komendanta — była wojna, a owocem jej — zwycięstwo.

„Strzępy Meldunków"

ŚMIERĆ KOMENDANTA

Liczyliśmy dnie i godziny życia Komendanta od chwili wydania wyroku śmierci przez wezwanego na Jego rozkaz z Wiednia profesora Wenkenbacha.

Straszne rozpoznanie raka wątroby wykluczało wszelką pomoc lekarską, mającą na celu choćby tylko przedłużenie bytowania Komendanta.

Na wielkiego człowieka przyszła choroba tak potężna, że medycyna współczesna jest wobec niej bezsilna.

Nie mogliśmy więc mieć żadnych złudzeń.

Śmierć Komendanta, straszna myśl o niej, przygniotła nasze serca na długi miesiąc przed Jego zgonem — ostatni miesiąc Jego życia.

A jednak, nie mogąc pogodzić się z myślą o stracie Komendanta, codziennie przerzucaliśmy się od ogromu rozpaczy do znikomego wątku nadziei.

Nadzieja ta malała z dnia na dzień, aż zgasła w naszych sercach na kilkadziesiąt godzin przed ostatnim tchnieniem Marszałka Polski.

W sobotę 11 maja wystąpił krwotok ustami, który bardzo osłabił Komendanta.

W niedzielę 12 maja o godzinie szóstej popołudniu otrzymałem telefon od generała Roupperta z Belwederu: „Jest źle, tętno słabe, bardzo przyśpieszone".

Ulice, którymi jechałem do Belwederu były ożywione, jak zwykle w niedzielne popołudnie.

Gwałtowne zmiany życia Polski, które odbywały się w tej chwili, nie wydostały się jeszcze z sypialni Pierwszego Marszałka.

Z okien pałacu biły smugi światła, jak tego wieczoru, gdym pierwszy raz był u Komendanta w Belwederze.

Teraz szedłem do Niego — raz ostatni.

W adiutanturze, prócz oficerów służbowych, zastałem generała Roupperta i Wieniawę.

Udzielają mi krótkich wyjaśnień. Tętno koło stu, słabe.

Komendant przytomny, błogosławił ręką dzieci, protestował w czasie ukłucia ramienia przez doktora, przy zastrzyku do żyły środka nasercowego.

Doktór Stefanowski pojechał po księdza Korniłowicza i ma wrócić niedługo.

Po tej krótkiej rozmowie — Wieniawa z Rouppertem odchodzą do Komendanta. Ja nie śmiem wejść, by Go nie rozgniewać zjawieniem się bez rozkazu.

Telefonuję do premiera Sławka, do generała Kasprzyckiego i polecam zawiadomić, będącego poza Warszawą, byłego premiera Prystora.

Premier Sławek zjawia się na chwilę i po zorientowaniu się w rozpaczliwej sytuacji odjeżdża wkrótce do Prezydium Rady Ministrów.

Przybywa generał Kasprzycki, a wkrótce za nim doktór Stefanowski z księdzem Korniłowiczem.

Ksiądz z doktorem wchodzą do sypialni Komendanta, a za chwilę generał Rouppert wzywa mnie, że można już wejść.

Wchodzę do narożnego salonu, w którym tyle razy meldowałem się Komendantowi.

Teraz, niestety, można już wejść bez meldowania się. Staję obok generałów Kasprzyckiego i Wieniawy.

Przed nami, na łożu, leży Komendant z zamkniętymi oczami, ciężko oddychając.

Pani Marszałkowa z córkami klęczy przy łóżku, trzymając rękę umierającego męża. W nogach stoi modlący się ksiądz Korniłowicz. Doktór Mozołowski, pochylony po prawej stronie łóżka, obserwuje twarz Komendanta.

Komendant ma oczy ciągle zamknięte. Twarz jego wychudła w czasie choroby, jest piękna i spokojna.

Mijają długie chwile samotnego świszczącego oddechu Komendanta i modłów księdza, udzielającego Ostatniego Namaszczenia.

Wszystko nagle zatrzymuje się w biegu naszych myśli.

Pozostaje — ta jedna straszna, że nic już Komendantowi pomóc nie możemy.

W pewnym momencie Komendant zachłystuje się i oddech Jego ustaje. Doktór Mozołowski robi ruch, jakby chciał jeszcze Komendanta ratować, ale za chwilę ręce jego opadają bezsilnie.

To już śmierć.

Klękamy wszyscy. Tylko adiutant, mający służbę, stoi na baczność. Jest godzina 8.45 wieczorem, gdy przestaje bić serce Pierwszego Marszałka Polski. Za chwilę generał Kasprzycki telefonuje do premiera o zgonie Komendanta.

W adiutanturze redagujemy komunikat do prasy o śmierci Komendanta.

Umarł o godzinie 8.45 wieczorem 12 maja 1935 roku, w trzecią niedzielę po Wielkiejnocy. I nigdy już żadna niedziela naszego życia nie będzie tak wesoła i beztroska jak za Jego pobytu z nami.

Przeżyliśmy z Nim, słuchaliśmy Go wiernie przeszło dwadzieścia lat. A teraz już będziemy z Nim jeszcze tylko w czasie pogrzebu, który skończy się przecież za dni parę, kilka.

Wtedy zostanie nam już tylko — życie bez Niego.

„Strzępy Meldunków"

POGRZEB PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI

Trzy dni leży Komendant na marach w obitej czernią sali Belwederu, otoczony przez posterunki wiernych żołnierzy, nieruchomych tak samo jak On.

Meldujemy się Mu codziennie, by zobaczyć Go jeszcze parę razy w sali, gdzie widywaliśmy Go za życia.

W tej półkolistej wnęce, gdzie leży Wielki Zmarły, siadywał On często za stołem w czasie większych przyjęć.

Tu Go widziałem pierwszy raz, po powrocie Jego z Magdeburga, już w Polsce niepodległej, przed szesnastu latami.

Mija kilka dni niezapomnianych smutku i żalu.

Wreszcie — nadchodzi dzień, gdy już Komendant musi wyjść poraz ostatni z Belwederu, który tak zrósł się z Jego osobą.

W godzinach popołudniowych, dnia 15 maja, zbieramy się na dziedzińcu: rząd, sejm, senat i żołnierze — i ustawiamy się po obydwu stronach głównego przejścia.

Przez chwilę mamy złudzenie, że zbliża się wieczór przed imieninami Komendanta, albo 10 listopada, gdy schodzimy się co roku, by złożyć życzenia, lub chociaż zdaleka zobaczyć Komendanta. Nie zawsze wychodził do nas na dziedziniec, szczególnie w latach ostatnich.

Tym razem, niestety, wyjdzie napewno z pałacu i zostanie otoczony naszym tłumem żołnierskim.

Nie odejdziemy sprzed Belwederu sami, nad naszymi głowami wyniesiemy Komendanta.

Przybywa Pan Prezydent Rzeczypospolitej w towarzystwie premiera Sławka i generała Śmigłego. Wchodzą do wnętrza Belwederu.

Na dziedzińcu staje tymczasem długi szpaler duchowieństwa w oczekiwaniu na początek ceremonii pogrzebowej.

Przy ostatnich blaskach dnia wypływa spośród filarów ganku pałacu wielka, okryta sztandarem trumna.

Niosą ją najstarsi generałowie. W pierwszej parze generałowie Śmigły i Sosnkowski.

W połowie dziedzińca trumna się zatrzymuje i bierzemy ją na ramiona. Niosę z admirałem Świrskim w drugiej parze.

We wrotach dziedzińca całuję trumnę w miejscu gdzie leżą wewnątrz nogi Komendanta.

Przed Belwederem stoi działo, powożone przez oficerów artylerii konnej.

Już trumnę stawiamy na lawecie.

Generał Śmigły sprawdza, czy trumna dobrze przymocowana. Panuje lęk ogólny wokoło, by ta właśnie trumna nie spadła w czasie marszu do katedry.

Za trumną, obok Pani Marszałkowej, staje Prezydent Rzeczypospolitej.

Czekamy dłuższą chwilę, po czym działo rusza z miejsca, kierując się w Aleje Ujazdowskie.

Teraz idziemy, prowadzeni przez generała Sosnkowskiego, oddzieleni od trumny grupą rządu, oraz delegacyj sejmu i senatu.

Warszawa zamarła w strasznej ciszy, panującej od Belwederu aż do katedry.

Nie było żadnych zgrzytów w ponurym nastroju maszerującej kolumny pogrzebowej i stojących po bokach tłumów. Śmierć Komendanta zwyciężyła wszystkich i wszystko w Polsce.

Po paru godzinach marszu wzdłuż półciemnych ulic, dochodzimy do zalanego tłumem placu Zamkowego i katedry.

W kościele trumna wniesiona zostaje na podwyższenie. Widoczna jest dla wszystkich.

Komendant już wysoko, daleko od nas. Tu Go zostawiamy na dni kilka, by mogły Go pożegnać tłumy nawet tych, którzy nie widzieli Go nigdy za życia.

W dwa dni później, 17 maja, znów idziemy z Nim na pole rewii, już po raz ostatni z ostatnich...

Na zielonym kurhanie składają Go na działo i defilujemy przed Nim, żegnając Go ostatnim: „Na prawo patrz!"

Naprzód idą generałowie, prowadzeni przez Generalnego Inspektora Śmigłego, a później delegacje wojska — kompanie, szwadrony z generałem Dreszerem na czele.

Trwa to długą, przygniatającą chwilę...

Defilada w ciszy — skończona.

Odjechał już ostatni — generał Dreszer.

Grają — „Jeszcze Polska"...

Wchodzimy na kopiec, by zdjąć trumnę z lawety.

Gdy przenosiłem trumnę wraz z generałem Bukackim, ucałowałem ją znowu przez sztandar biało-czerwony.

Teraz wszystko szybko się kończy...

Trumna wysoko już złożona na lufie polskiej haubicy, ustawionej na długiej platformie kolejowej. Kładą wieńce, zaciągają wartę honorową.

Potem ciągniemy platformę za długie liny, wolno ciągniemy aż do czekającej lokomotywy. To już wszystko, cośmy mogli zrobić! Tu rozstajemy się z Komendantem.

— „Uroczystość w Warszawie skończona" — mówi do nas generał Śmigły.

Zrywa się ulewa z grzmotami.

Wszyscy jadą do Krakowa, ja zostaję w Warszawie.

Już Cię więcej nie zobaczę Komendancie, chyba tam w krypcie.

Już Ci nie zamelduję: „Panie Marszałku“, gdy myśli krzyczą: „Obywatelu Komendancie!“..

Pociąg rusza. Już za nim nie pójdę.

Komendancie!...

Nie zmoknij Komendancie, tak łatwo się przeziębiasz.

Ale to... głupota!

Już pociąg idzie. Co powiedzieć Ci przy rozstaniu...

...Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje...

A jednak, w sercu mym zostaniesz Komendancie, nie Ten, wieziony w trumnie na lawecie działa, ale Ten, Który tysiące dział i miliony żołnierzy rzucał do boju o wielkość i życie Polski.



TADEUSZ KASPRZYCKI

WZIĄŁ ON NA SWE BARKI DECYZJĘ...

...Niejeden z nas przystępuje do pracy raczej w przekonaniu, że zbliża się chwila, w której Polska znów będzie musiała stwierdzić ofiarą swe nieprzedawnione prawa. Mało kto rozumiał podziemne odgłosy nadciągającej grozy wojennej, ku której szybkimi krokami zbliżała się Europa, przytłoczona zbrojnym pokojem. Tym bardziej mało kto przeczuwał, jak wielkie i jedyne widoki powstaną dla Polski na tle wojny między zaborcami.

Rozumiał, jakie to stwarza dla Polski perspektywy i dawał temu wyraz jedynie ten, ku któremu my, młodzież, zwracaliśmy wzrok, przedwcześnie zniechęcony beznadziejnością położenia.

Nie znamy go. Słuchy tylko o Komendancie Głównym dochodzą do naszych zagranicznych organizacyj.

Mimo braku osobistej styczności oddziaływał na nas coraz silniej.

Świadomość, że istnieje człowiek, który tysiące skupia pod hasłem ostatecznej ofiary, dawała ulgę. Wziął On na swe barki decyzję — i potrafił wzbudzić zaufanie mas. Ten moment psychiczny odegrał poważną rolę — rozpraszał wątpliwości, przecinał wahania. Podświadomie tęskniliśmy do wodza, który miał nas wyprowadzić z chaosu, zdawało się, bez wyjścia.

Poraz pierwszy wielu z nas zetknąć się mogło bliżej z Komnedantem Głównym dopiero w roku 1912.

W czerwcu tego roku został zwołany zjazd Związku Walki Czynnej do Lwowa (Rada oficerska).

Biorąc w nim udział jako przedstawiciel organizacji paryskiej, jechałem głęboko przejęty, celem nawiązania bezpośredniej styczności z „górą“ związku, z jednym z głównych ognisk ruchu.

Z daleka od głównego prądu czuliśmy się w zagranicznych skupieniach organizacyjnych nieco odosobnieni, żyjąc odgłosami działalności, rozwijającej się w kraju.

Tu dopiero, we Lwowie zwłaszcza, wyczuwało się rozmach pracy związkowej, siłę młodej idei, pewność w stosunku do otoczenia, toczonego niewiarą.

Z respektem, z ubocza, wchłaniamy całą duszą rozgwar bujnego życia, nastrój koleżeńsko-żołnierski, którego nie znaliśmy jeszcze zagranicą. Obrady, rozmowy — nastrój ogólny — uzbrajają psychicznie do dalszej walki ze sceptyzmem otoczenia, czasem z własnymi wątpliwościami.

Nade wszystko jednak ostatecznie zadzierżgnie się w każdym z nas ta dziwna nić sentymentu i przywiązania do Komendanta Głównego, którego rolę przeczuwaliśmy dotąd z daleka, nić, którą warunki dalszej pracy przekształcą w ten przedziwny czynnik, skupiający nas w stalowy blok, spojony uczuciem żołnierza do wodza.

Patrzymy na jego sylwetkę na tle obrad, słuchamy z zapartym oddechem wypowiedzeń, obserwujemy zachłannie każdy ruch obywatela Mieczysława. Ta kontemplacja trwa zarówno na sali zjazdu, jak w jakiejś kawiarence, czy cukierni, gdzie Komendant z obywatelem Józefem, szefem sztabu, z całym skupieniem spędzają dobrą chwilę nad tradycyjną szachownicą.

Zetknięcie się ze środowiskiem, urok głównej postaci ruchu, dały nowy zapas sił i równowagi duchowej wszystkim nam, stojącym dotąd zdala od ogniska ruchu, wlały wielką dozę nowej wiary i zapału do idei.

...W lecie 1913 roku zostałem powołany do obozu ćwiczebnego w Stróży koło Tymbarku. Zjeżdża z różnych stron wielu strzelców, którzy się wykazali zamiłowaniem lub zdolnościami wojskowymi. brali czynny udział, jako instruktorzy lub organizatorzy pracy.

Ze strzelców związków zagranicznych został utworzony pluton zagraniczników, których zakwaterowano w stodole. Dowództwo tego plutonu objął obywatel Karasiewicz, ja zostałem podoficerem za frontem. (Pod pseudonimem Stefana Kowerskiego). Kilkotygodniowa szkoła, codzienna praca praktyczna i teoretyczna pod osobistym nadzorem Komendanta Głównego, szefa sztabu i elity instruktorskiej Związku, podnosi nas fachowo do poziomu dowódców plutonu i kompanii.

Wykłady i pogadanki Komendanta wiążą nas jeszcze ściślej z jego metodą pracy, ideą wychowawczą, poglądami wojennymi.

Tępił w nas marazm polski, który z rycerskiego niegdyś narodu dał typ, co „w trzech sosnach zabłądzi", jak mówił Komendant, „a do konia podchodzi jak do tygrysa".

(Kartki z dziennika oficera I Brygady)

TADEUSZ ALF - TARCZYŃSKI

POJEDZIESZ

Może ktoś kiedyś dochodzić będzie przyczyn, dla których Komendant miał w nas, żołnierzach Jego brygady tak bezgranicznie oddanych, przywiązanych i wiernych na śmierć i życie podkomendnych, może szukać będzie wytłumaczenia, w jaki sposób umiał się On dobrać do naszych żołnierskich serc, że najżywszym biły dla Niego tętnem. Niechże to osobiste moje wspomnienie dorzuci jeden jeszcze szczegół i niech zaświadczy, że do tych wszystkich cech i przymiotów, które składają się na Wielkość Józefa Piłsudskiego jako wodzą, należała także niezwykła umiejętność mówienia do swych żołnierzy. Nie mam tu na myśli pisanych i odczytywanych nam przed frontem, zapadających głęboko w mózg i serce przepięknych Jego rozkazów, lecz bezpośrednią rozmowę, w której potrafił jednym zdaniem, jednym słowem rozwiać wszelkie wątpliwości, przekonać i nastroić słuchacza, jak chciał.

W pierwszych miesiącach 1916 r. w Karasinie, któregoś późnego już wieczoru, zostałem nagle wezwany do Komendanta.

Ręce mi się trzęsły ze wzruszenia, kiedy zapinałem pas. Domyślałem się, że chodzi o mój powrotny wyjazd do Warszawy do roboty w P. O. W. (W sierpniu 1915 r. zabrał mnie z Krakowa ze szpitala szef sztabu Sosnkowski do Warszawy do pracy w P. O. W. W Warszawie siedziałem do października, po czym wróciłem do Brygady na front). Domysł mój potwierdził ś. p. ppor. Sulistrowski, który zameldował Komendantowi moje przybycie. Oczekiwałem na wezwanie mnie w jadalni. Kwatera Komendanta, gdzie mieścił się i sztab brygady, była to na uboczu wsi stojąca, lepsza chata, o kilku izbach. Chodziłem dookoła stołu (niesprzątniętego jeszcze po kolacji), z rozpaczą w duszy, bo w tym okresie czasu, ze względów o których później, bałem się tego wyjazdu do Warszawy, jak nieszczęścia. Szukałem w myśli argumentów i układałem sobie jak mam prosić Komendanta, aby mnie zostawił w brygadzie.

Wreszcie zostałem zawołany.

Wszedłem do izby. Przy ścianie łóżko Komendanta, stół zarzucony pa-

pierami, lampa naftowa. Przy stole stał kpt. Ludwik (Piskor). Komendant chodził tam i napowrót po izbie. Był w swetrze. Stuknąłem obcasami.

Obywatelu Komendancie, ppor. Alf melduje się posłusznie na rozkaz.

Komendant skinął mi głową i nieprzestawał chodzić po izbie, jakgdyby zapomniał zupełnie o mnie.

Trwało to długo, mnie się zdawało, że wieczność całą.

Wreszcie Komendant stanął przedemną, na chwilę zresztą, bo zaraz rozpoczął znów swoją wędrówkę po izbie.

„Mój chłopcze pojedziesz jutro do Warszawy, zawieziesz Sławkowi moje instrukcje i zostaniesz tam do jego dyspozycji. Pojedziesz jako ordynans ppor. Bortnowskiego“.

(Tu muszę wyjaśnić, że działo się to w czasie, kiedy Komendant był szpiegowany przez „rodaków“ z c. k. austriackiej Komendy Legionów i ta moja maskarada, za ordynansa kolegi, miała na celu ukrycie przed okiem szpicli wyjazd mój jako oficera).

Stanąłem milcząc na baczność.

Komendant przechadzając się wciąż po izbie objaśniał swoje instrukcje, wreszcie stanął znów przedemną i zapytał, czy mam co do powiedzenia.

Wtedy nieśmiało (pamiętam drżały mi kolana) zapytałem, czy to jest konieczne żebym ja jechał, czy nie mógłby jechać kto inny.

— „Co ma znaczyć ta prośba“ — zapytał Komendant.

Zacząłem tłumaczyć, że nie czuję się na siłach do roboty w P. O. W., że się boję, czy tej robocie podołam, że praca ta nie daje mi zadowolenia takiego, jakie mi daje służba w oddziale, w linii, wreszcie, że kiedy wrócę to zastanę moje stanowisko (jak to już było raz poprzednio) obsadzone kim innym i znów będę musiał czekać aż się miejsce dla mnie w linni uwolni.

Zrobiło mi się lżej. A nuż prośba moja zostanie wysłuchana.

Komendant rozpoczął milcząc swój spacer po izbie.

Mijała chwila za chwilą.

W sercu rosła nadzieja.

Wtym Komendant stanął znów przedemną i patrząc mi w oczy z jakąś ogromną pogodą w uśmiechu powiedział:

— „Pojedziesz. — Trudno. — Taki twój pech. Chcesz zostać, a musisz jechać, pech! — Cóż robić — pech.

Twoje argumenty mnie nie przekonywują. — Umiesz czy nie umiesz rób tak jak możesz najlepiej — to mi wystarczy“.

Wreszcie jak gdyby ze złością spod nabrzmiałych wąsów i z ogromem dobroci w siwych oczach dodał podnosząc głos:

„A co się tyczy zadowolenia, to gdzie to jest napisane ,że masz być zadowolony. — Pojedziesz — do widzenia“.

I wyciągnął do mnie rękę. — W oczach miał uśmiech.

A ja w jednej chwili zrozumiałem, że wszystkie moje wątpliwości rozwiały się najzupełniej, że na pecha nie ma sposobu i wstyd mi było, że mogłem brać w ogóle pod uwagę wzgląd taki, jak zadowolenie własne. — Czy może być co równie prostego?

A jeszcze zrozumiałem i to, że od tej chwili na przyszłość każdy rozkaz Komendanta wykonać będzie mi bardzo, bardzo łatwo.

ADAM BORKIEWICZ

Z KSIĄŻEK KOMENDANTA

(SZKIC O CHARAKTERZE ANKIETY)

Z biografii Wielkiego Budowniczego Państwa Polskiego i Zwycięskiego Wodza Naczelnego wiemy, że w okresie zakładania przez Niego pierwszych zrębów Wojska Polskiego (Związek Walki Czynnej i powstały zeń ruch niepodległościowo-wojskowy) Komendant Józef Piłsudski przeprowadzał rozległe studia historyczno-wojenne i wojskowe, by, jak sam napisał w 1908 r. „przygotować zwycięstwo“.

Treść książek, jakie wówczas czytał, a które były wraz z talentem i doświadczeniem wodza, wyniesionym z rewolucji ubiegłych lat 1904—1908 r. źródłem, gruntownej i wszechstronnej wiedzy w dziedzinie wojny, jaką już wówczas ku podziwowi otoczenia wykazywał; liczne wygłaszane przez Niego odczyty i wykłady, wychowujące młode pokolenia do czekających go zadań, wreszcie publikacje, drukowane wówczas lub później, — pozwalają ustalić, że ówczesny Komendant Główny odradzających się polskich sił wojskowych studiował przed 1914 r.: wojny napoleońskie, szczególnie sztukę dowodzenia i improwizację wojska, wojnę polsko-rosyjską 1830—31 roku; wojnę francusko-pruską 1870 r., interesując się zwłaszcza działaniami partyzanckimi „franctireur“-ów; wojnę boerską 1902 r.; gruntownie wojnę rosyjsko-japońską 1904 r.; wojnę turecko-bułgarską 1912 r. Najwięcej atoli serca i wysiłku włożył w tym czasie w pogłębianie swej wiedzy o powstaniu narodu polskiego w 1863 roku.

Świadczą o tym przede wszystkim książki Komendanta z owego czasu. Część ich zachowała się w bibliotece sulejówkowskiej, lecz trudno obecnie stwierdzić, z których czerpał Komendant swe wiadomości przed wojną, które z nich były pomocą do „przygotowania zwycięstwa“.

Sięgnijmy do innych źródeł. Niektóre książki Komendant wymienia w swych ówczesnych pracach, jak Przyborowskiego, Gieskieta, Pawliszczewa i inne, dając ich charakterystyki i oceny. Zachowały się także *)

*) Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego, Warszawa, Aleja Ujazdowska 1.

notatki Komendanta z lat 1912—1914 oraz 4 strony spisu książek, sporządzonego w 1914 przez ś. p. Stanisława Tymkowicza-Krynickiego**). Notatki te w 1921 roku przywiózł z Krakowa mjr. Świtalski Kazimierz, gdzie znajdowały się one od roku 1914 w biurku Komendanta w mieszkaniu przy ulicy Szlak.

Notatki Komendanta są różne. Jedne są zestawieniami książek. Komendant wymienia w nich nieraz dwukrotnie jedną i tę samą książkę: np. „Ostatnie chwile powstania styczniowego", czterotomowe dzieło W. Przyborowskiego zanotowane jest raz jako książka „Sulimy", drugi raz w tej samej notatce, jako praca „Z. L. S." (pseudonimy W. Przyborowskiego). Zatem notatki te mają charakter raczej wypisów bibliograficznych książek, które były potrzebne, a nie książek posiadanych czy czytanych, tym bardziej, że przy niektórych książkach podane są ich ceny. Inne notatki są odpisami lub streszczeniami z podaniem źródeł. Te są bezwątpienia dowodem, iż źródła wymienione były czytane.

Poza tym znalazłem w rachunkach z 1912 roku dwie pozycje wydatków na bibliotekę: 35, oraz 100-koron — sumy dość duże w stosunku do ówczesnych cen książek.

Co nam mówią kartki, pisane ręką ś. p. Tymkowicza? Posiadają one strony kolejno numerowane: 6, 7, 8, 9. Brak zatem stron 1, 2, 3, 4, 5. Przypuszczam, że i następnych 10-ej i 11-ej itd. Już na pierwszej zachowanej stronie, t. j. 6-ej widzimy tytuł nad serią wyszczególnionych książek: „C. Dzieła podstawowe do historii 1863 roku", dalej na stronie 8-ej podtytuł: „Pamiętniki". Na stronie 9-ej widnieje nowy tytuł: „D. Dzieła Krajoznawcze". Obok haseł książek kolejna ich numeracja, lecz wewnątrz działu, znaczonych dużymi literami alfabetu. Mówi nam ona, że nieznany dział „B" obejmował 19 książek, z nich tylko dwie wyszczególnione na początku strony 6-ej — 18 i 19, inne były zapisane na stronach, które zaginęły. Musiał być zatem także i dział „A" z nieznaną ilością niewiadomych książek. Przyjrzyjmy się teraz hasłom.

Weźmy pierwszą ze strony 6-ej. „18. Powstania Polskie 1794, 1830—31, 1863. Wiedeń. Nakładca Franciszek Bondy". Jest to dosłowny odpis z okładki książki: Tymkowicz nie wymienia autora (Augusta Sokołowskiego), nie jest on wymieniony na okładce książki. Spis Tymkowicza robi więc wrażenie, że został on dokonany już z posiadanych książek. Ponieważ znajdował się w biurku Komendanta, jest to więc zestawienie Jego książek. Wiadomo, że Tymkowicz w 1913 i 1914 latach pomagał Komendantowi, pełniąc honorowo funkcje jakby sekretarza czy adiutanta. Podział książek na serie według treści: A, B, C, D, itd świadczy, że Tymkowicz segregował książki już nabyte. Zatem możemy przypuścić, że spis ten jest częścią zestawienia biblioteki Komendanta z lat 1912—1914. Wymienia on 18

**) Stanisław Krynicki pseud. Tymkowicz, utopił się w Wiśle 18.IX.1914 podczas walk pod Nowym Korczynem. Patrz „Moje pierwsze boje".

książek nadto podaje liczbę książek działu „B", lecz z tego brak nazw 17 książek. Połowa z nich pokrywa się z książkami, zanotowanymi przez Komendanta, co świadczyłoby, że Komendant wynotowywał potrzebne Mu książki, które były następnie zakupywane. Odtworzymy teraz, na podstawie wyżej podanych częściowych danych ówczesną bibliotekę Komendanta. Podstawą tego zestawienia, będzie spis, dokonany przez Tymkowicza. Uzupełniam go książkami podanymi przez Komendanta, a przede wszystkim wyszczególnionymi w Jego pracach, następnie książki podane w odpisach ze źródeł, wreszcie z pozostałych notatek.

Spis Tymkowicza.

Str. 6.

1) 18. (August Sokołowski) Powstania 1794, 1830—31, 1863. Wiedeń, nakładca Franciszek Bondy.

2) 19. Hirszberg. Bibliografia Powstania Narodu Polskiego z roku 1830—31.

C. Dzieła podstawowe do historii 1863 r.

3) 1. Materiały do historii powstania 1863—64. Lwów 1883***).

4) 2. Przyborowski Walery. Dzieje 1863 roku.

5) 3. Mierosławski. Dokumenty urzędowe do dziejów powstania

6) 4. Grabiec. Rok 1863 (Lwów 1913 r.).

7) 5. Giller A. Historia powstania narodu polskiego 4 tomy.

8) 6. Giller A. Polska w walce.

Str. 7.

9) 7. Łukaszewski. Zabór pruski w czasie powstania 63 roku.

10) 8. Sawicki Stella. Galicja w 1863 r.

11) 9. Berg M. Zapiski o powstaniu polskim 1863 i 1864 roku(Kraków 1898).

12) 10. Gieskiet. (Puzyrewskij). Wojennyja diejstwija w carstwie polskom w 1863 godu. Warszawa 1894.

13) 11. (Limanowski B.) Historia ruchu narodowego od 1861—64. Lwów 1882.

14) 12. Chołodecki J. Księga pamiątkowa powstania 63 r. II wydanie 1913 r.

Str. 8.

Pamiętniki.

15) 1. Aramowicz. Pamiętniki o ruchu partyzanckim w województwie grodzieńskim.

16) 2. Grzegorzewski. Wspomnienia osobiste z 1863 roku (z rycinami marszów).

17) 3. Żychliński. Wspomnienia z 1863 roku. Poznań 1888.

18) 4. Erlach F. Die Kriegsführung der Polen im Jahre 1863. (Lipsk 1866).

***) Oznaczone gwiazdką wymienione są także w notatkach Komendanta.

19) 5. Jeziorański. Pamiętniki. 3 tomy.
20) 6. Krzywda N. Wspomnienia obozowe.
21) 7. Langiewicz. Listy. Wydał Merwin. Lwów.

Str. 9.

22) 8. Struś płk. Ludzie i wypadki 1861—64. Lwów 1894.
23) 9. Wspomnienia kapitana W. P. z 63 r. Lipsk 1866.
24) 10. Z lasu, pola i kwatery — urywki z pamiętników 1863 r.

D. Dzieła krajoznawcze.

25. 1. Grabiec. Polska w cyfrach i faktach.
26) 2. Gloger. Królestwo Polskie.
27) 3. Opis ziem polskich. Zabór Pruski. Zabór Rosyjski.
28) 4. Polska. Wydanie Macierzy. 2 tomy.

Książki zanotowane przez Komendanta.

29) Pawliszczew Mikołaj. „Siedmicy polskawo miateża“ 1861—64. Petersburg 1887 r. 2 tomy.

30) Bartoszewicz. Rok 1863. Trzy tomy.
31) Chłapowski. Pamiętniki. (Z 1831 r.).
32) Roczniki czasu z 1863 i 1864 r.
33) Drążkiewicz. Wspomnienia Czachowszczyka.
34) Gawroński. Rok 1863 na Rusi.
35) Gregorowicz. Pogląd krytyczny na wypadki z roku 1861--63. Lwów 1880.

36) Gieskiet. Galicyjskija i Poznanskija bandy. Wojennyj zbornik. 1899 nr. 11 i 12.

37) Górski K. Historia Piechoty.
38) „ „ „ Jazdy.
39) „ „ „ Artylerii.
40) Jełowicki A. Moje wspomnienia. (Z 1831 r.).
41) Krasiński biskup. Wspomnienia.
42) Kołaczkowski. Wspomnienia (1831 r.).
43) Limanowski. Powstanie narodowe 1863 i 1864. Lwów 1890.
44) Murawiew. Pamiętniki.
45) Ożegalski. Wspomnienia minionych czasów.
46) Pismo zbiorowe. Korewo i jego oddział. Lipsk 1863 (Będlikon).
47) Przyborowski Walery. Historia dwóch lat 1861—62. 5 tomów Kraków 1892.

48) (Sulima) Ostatnie chwile powstania styczniowego 4 tomy.
49) Portrety i sceny z życia powstania.
50) A. (Kraushar) Z pamiętnika Romana 1859—63.
51) Rostworowski. Wspomnienia z 1863 r.
52) Różycki. Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej.
53) Struś (Sawicki płk.) Szkice z powstania 1863 r.

54) Giller A. Polska w walce. (Druga część) Pamiętniki kapelana Serafina Szulca.

55) W czterdziestą rocnicę powstania styczniowego Lwów 1903.

56) Wrotnowski F. Zbiór pamiętników o powstaniu Litwy w roku 1831. Lipsk 1875.

57) Zdanowicz A. Dziesięć dni dyktatury.

58) „ „ Noc św. Marcina.

59) Wojennyj sbornik z 1867 g. nr. 9. Pochodnyja zapiski.

60) „ „ „ 1883 g.

61) żychliński. Wspomnienia z 63 r. Poznań 1888 r.

62) Współczesny (Dubiecki) Romuald Traugutt i jego dyktatura.

63) Ludwik . . . . Ze wspomnień Syberii 63—69.

64) Obrazki z roku 1863. 2 tomy.

65) Prądzyński. Pamiętniki.

Książki angielskie do wojen japońskiej i bałkańskiej.

66) Raports from Britisch Officers attached to the Japonese and Rusian forces in the field.

67) Maj. Lionel James. With the conguered Turk. The Nelson and son.

68) Maj. Hovell. The campaigne in thrace by Hugh Rees.

69) Noel Buxton. With the Bulgarien Staff. Smith Edler a Co.

Książki francuskie do wojen napoleońskich, 1870, boerskiej i bałkańskiej.

70) Vachée Napoléon en campagne. B. Levrault. Paris.

71) Gen. Palat. Une Grande question d'histoire et des psychologie Bazaine et nos desartres en 1870 Chapelot.

72) Claude Berthet. Etapes et Combats d'un regiment de Marche 1870 1-re Legion de Rhône. Chapelot.

73) Jean Leune. Une revanche, une etape. Campaigne de L'arme Héllénique en Macedonie.

74) Colonel Humbert. Une revolution dans l'art de la guerre.

75) Col. J. Fabes. Principes fondamentaux et tactique raisonnée du combat de nuit.

76) E. Panlugs. Thimes strategiques et tactiques Bruxelles. G. Rothy.

77) A. Tarié. Le grandhommes de guerre Murat. Chapelot Paris.

78) M. Jouvencel. Aide. — Memoire du partisan franc-tireur.

79) Gilbert Capitaine. La guerre Sud-Africaine 1902.

80) Dumas Capitaine. La guerre par les communications allemandes en 1870.

81) Lieutenant de Nerre. La tactique des Anglais aprés la guerre du Transvaal.

82) Chareton Capitaine. Les corps francs dans la guerre moderne.

83) Colonel Fauree. De l'influence du teraine sur les operations militaires.

84) Von der Wangen. Traduit par le capitaine Cartet. Guerre en 1870.

85) Com-Fonvi... Etude tactique de la guerre sur Africaine 1894-1900.
86) Fortifications de campagne.

Książki niemieckie.

87) Graf v. Lambsdorff. Deutsch-russisches militärisches Wörterbuch.
8) Wallendorfer und Szarowski Sanitätstaktisches Handbuch. Verlag Jozef Safar.
89) Veltzi. Armeealmanach 1913/1914.
90) F. R. Schmidt und major M. Veltzi. Sanitätshilfsdienst im Gefechte bei einem Infanterieregimente.
91) Taktiche Schilderungen von Epizoden aus der Balkankriege. 1 Heft.

Otrzymaliśmy w ten sposób blisko sto książek z biblioteki Komendanta. Oczywista, spis ten nie jest kompletny. Brak napewno w nim wielu dzieł, jakie Komendant posiadał, z drugiej strony część z nich może była wypożyczona.

Dalsze studia rozszerzą powyższe zestawienie, szkicowo potraktowane. Umieszczając je w „żołnierzu Legionów i P. O. W.“ zwracam się jednocześnie tą drogą do Szanownych Kolegów Legionistów i Peowiaków z apelem-prośbą:

1 — o ofiarowanie wymienionych książek w razie ich posiadania Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze.

2 — o uzupełnienie podanego zestawienia posiadanymi a pewnymi wiadomościami o książkach Komendanta z podaniem źródeł.

ADAM DOBRODZICKI

Z NOTATEK

Gdy pierwszy raz zobaczyłem Naczelnika Państwa w sali recepcyjnej Belwederu uderzyła mnie gwałtowna sprzeczność postaci Jego z otoczeniem. On, przy szarości munduru, promieniujący skupieniem w sobie wszystkich trosk, w ramach bezczelnej pustki rzekomej ważności otoczenia. Przychodziło na myśl: czyżby i w tych ramach miała Go i tu ścigać wewnętrzna treść „ojców narodu“?

Przyodziewek Belwederu pozostawiony przez gubernatora Izwolskiego, polegał na obwieszeniu szeregu sal białą ceratką z różowymi, wielkich rozmiarów, makami. Bezsens ten, obficie ufałdowany, zwisał u wszystkich drzwi, pokrywał meble i zabierał oknom światło. Ten ogrom ceraty puszył się uroszczeniem wystawności. Widocznie niewygasły szacunek dla ważności minionego gospodarza nakazywał t. zw. zarządowi budynków reprezentacyjnych utrzymywać nienaruszoną tę chwałę piękna Warszawy.

Uważałem sobie za miły obowiązek, by przy każdej sposobności masakrować tę chlubę stolicy. Gdy perswazje w zarządzie okazały się bezskuteczne, ogniem papierosa, ostrogami i cholewami butów niszczyłem skutecznie te ceraty, i wymusiłem w ten sposób usunięcie tej zdobności.

Zmianę Naczelnik zauważył i powitał: „nareszcie zrozumieli, że obcych poselstw nie można przyjmować we fryzjerni. I okazuje się, że były jednak do dyspozycji graty przyzwoite. Anemia wyglądu tych sal stąd wyganiała“.

* * *

Marszałek doskonale wyczuwał wagę słowa.

W rozmowach przygodnych często bywał tematem gest dramatyczny, wyzuty z przypadkowości, a podniesiony do roli ceremoniału, i gest, który w sobie skupia celowość danego obchodu. Często dyspozycje Marszałka dotykały nawet drobnych szczegółów, niepozornych przesunięć ubioru i kolejności ceremonii. Mimo odrazy do zajęć reprezentacyjnych pragnął ustalać formy, wprowadzać je w zwyczaj, zawężlać w ten sposób tradycję. Było to słusznym dążeniem, aby ceremoniał, skoro już jest nie do uniknięcia, wyzwolony był od zbiegu okoliczności, a stawał się wyrazem ściśle określonego i w skali swej dokładnie odważonego zamysłu bez zbędnej lub błędnej gestykulacji. Żądał, by ład, ujęty w karby właściwego rytmu, surowy, bez sztuczek dekoracyjnych, bez gadulstwa, ściśle odpowiadał przeznaczeniu w służbie pewnej sprawie.

Ta służba była jedyną troską, zostawała zawieszona ponad wszystkimi, którzy byli do jej dyspozycji.

Dlatego to gest, rytm i ton odnajdywały w wystąpieniach Marszałka tajemniczą jedność. Jego przemilczenia miały niezawodne znaczenie, jak i przeciwstawność Jego gestu i rytmu nie pozostawiała wątpliwości co do rodzaju krytyki. W chwilach ważnych nie można było z tego sposobu bycia nic odjąć ani dodać. Wiązał przestrzeń ze sobą bez reszty. Stawał się uruchomionym symbolem.

Ale to nie przeszkadzało Marszałkowi zachować niezamąconą prostotę i swobodę potocznego obcowania z ludźmi.

* * *

W pogodne popołudnie wiosny 1919 r. nieoczekiwanie w powrocie z Rady Ministrów zaszedł raz Naczelnik Państwa do Lourse‘a w Warszawie. Nagłe przyjęcie przez nas postawy na baczność zwróciło uwagę Komendanta na nasz stolik, przy którym zechciał łaskawie zająć miejsce: „Korzystam, że mnie wielu jeszcze nie zna, więc też wpadłem po drodze na kawę. Nieraz przychodzi na myśl, jakby to było swobodnie, gdyby można, nie zwracając niczyjej uwagi, jak za dawnych czasów, wpaść na śledzika z kieliszkiem. Niestety, coraz więcej skrępowania; gdzieby się nie ruszyć, zaraz grają „Jeszcze nie zginęła“, albo gapiostwem nie dają chwili wytchnienia“.

Obracając zaś talerzem z ciastkami osądził, że „kolor wcale obiecujący“.

Zachęcam — że to niby kolor rzecz główna w odżywianiu. Ongiś, w Oleandrach, w dzień wymarszu Kadrówki pełniąc wraz z Sieroszewskim służbę, przypadło nam dla wszystkich ugotować obiad. Było to straszliwe zadanie; Sinko, jak przystało na literata, dbał o treść, zaś ja jak przystało na malarza, troskę skupiałem na kolor. W ciągu czterech godzin donoszono nam coraz to więcej świeżego mięsa i jarzyn. Pakowaliśmy to wszystko bez wyboru w kotły, gdy poprzednia ich zawartość już była na breję rozgotowana. Przybierała ta strawa wygląd tak niesamowity, że ze strachu przed awanturą biegałem do miasta po rozmaite przyprawy o zdecydowanej barwie, by obiad ten ratować. Sirko po syberyjsku wszystko przyjmował za do bre i skuteczne, ja zaś w kuchni poruszałem się jakby w pracowni chemicznej: bez żadnego pojęcia o rzeczy. Spróbować tego jadła zabrakło mi odwagi; wymanewrowałem się więc, na Sieroszewskiego spychając zadanie wydania tegoż obiadu. Ale obiad przyjęty został z ogólnym uznaniem. Śmiem sądzić, oczywiście, że była w tym moja główna zasługa, bo wszystko przecie ratował właśnie tylko kolor. To tylko kpt. Tessaro mógł złośliwie twierdzić, że smaku dodało ogólne wygłodzenie — a troska o kolor nikomu nie świtała w głowie. Ale przecie osąd taki niesłuszny był i szkodliwy.

Na to Naczelnik ubawiony widokiem Sirki w roli kucharza: „Aha — uważacie, że to cynicy tylko, chowający głowy w piasek, osądzają rzecz wedle norm zasycenia. Praktyczne to, to nie jest; niestety jest w tym i kawałek niebezpiecznej prawdy, że skoro nie ma głodnej awantury, to i barwa zbyteczna".

Jak odwrócić trzeba strach, to barwa jest ważna, a gdy strach się przetrzymało, to niechże sobie barwa pełznie.

„Właśnie, właśnie — niech sobie pełznie, ludziom „pachlopka" wystarcza, ludziom dotrzymanie barwy nie dogadza. Strach przed barwą znają większy niż przed głodem. Głodny strach można zaklajstrować, a barwie trzeba się dać pochłonąć. Łatwiej jest tyć niż bojować, i bezpieczniej jest tyć niż bojować. Barwę zaś udźwignąć to nielada bojowy wysiłek". — „Pewno i dlatego tak bardzo jest modnym barwy niedowidzieć, zapruszać ją wątpliwościami. Gorliwości zapruszania jest na każdym kroku dość". — „Inna to barwa od tej, której szukaliście w strzeleckim kotle. I napewno odbierająca apetyt i budząca niestrawność w ludziach, którzy żyją nadzieją spokoju... Naruszanie barwą umiłowanej szarzyzny... Wmawiaj tu ludziom odwagę barwy".

* * *

W czasie wojny, kiedy przedłożono groźne przepisy o mundurze wojskowym i guzikach, Marszałek zareagował: „że też nie macie nic lepszego do zrobienia; cóż wam przeszkadza, że chłopcy swemu poczuciu formy i wynalazczości dadzą upust w naszyciu guzików naukos, lub naszyją ich o dwa więcej lub mniej".

W dniu, w którym zaś wyszedł zakaz używania barwnych lampasów

na kawaleryjskich spodniach, Marszałek, przyszedłszy do stołu obiadowego, podjudzał obecnych ułanów, aby pod pretekstem donaszania starych ubrań zachowali barwy. „Minister — mówił — powtórzy rozkaz — wy nic; dostaniecie groźną naganę—wy nic; może każą wam wdziać rogatywki, jak bracia kalwarianie — wy nic; jak przetrwacie, to barwy będą uratowane“.

Oczywiście tak się też stało...

* * *

Byli tacy gorliwcy, którzy długo debatowali nad tym, komu przyznać prawo do noszenia wężyków na mundurze wojskowym. Ekskluzywność walczyła z protekcjonizmem, zapatrzenie w przeszłość z troską o zadania, które się miało przed sobą przy tworzeniu armii polskiej.

Gdy te „sporną sprawę“ przedstawiono Komendantowi, przesądził: „jeżeli nowotworzone wojsko przejmie ideę walki o niepodległość, to wężyki założą wszyscy bez pytania o to, jeżeli idei tej nie przejmą, to wężyki zdejmiecie wy“.

I dopiero wówczas zrozumieli wszyscy wątpiący, jak bardzo proste mają przed sobą zadanie. Łaskawe rozdawnictwo i łaskawe poklepywanie po ramieniu, już wtedy w umysłach poniektórych się bełtało.

* * *

W pracy Marszałka bywały długie okresy zmagań się z sobą i z ludźmi, kiedy warunki pozwalały mu rzucać się na spoczynek zaledwie dwu- lub trzygodzinny. Gdy przychodziły zatem okresy spokojniejsze, słusznie zadaniem oficera służbowego stawało się, aby około północy znaleźć powód zajścia do samotnego gabinetu pracy Marszałka i spowodowania rozmowy, która oderwałaby myśl Jego od bieżących spraw i w następstwie umożliwiła spoczynek.

Oczywiście sztuka była najłatwiejszym pretekstem zaplątania się do gabinetu, a Słowacki był środkiem niezawodnym do sprowokowania rozmowy. Było to zresztą zadanie niełatwe, i zbyt często wypadało się z roli szybciej aniżeli się weszło. Uplanowany zamysł łamał się na pierwszym zdaniu, gdy manewr niedość był zamaskowany.

Pamiętam taką noc.

Był to czas organizowania Powszechnego Związku Plastyków Polskich. Trzeba było uzyskać pomoc Państwa dla Sztuki, gdy brak było butów dla wojska na froncie.

Wywołanie rozmowy było łatwe. Wymiana zdań szła równie gładko jak i bezskutecznie. Zaryzykowałem wówczas zdanie, że nawet tak kiepski zwierzchnik Państwa jak Stanisław Poniatowski zdobywał się na ofiary dla Sztuki.

Otrzymałem odpowiedź: „Ba! — gdybym mógł, jak Poniatowski trwonić fortunę Czartoryskich — to i tak dziś nie dałbym wam grosza“.

* * *

Zasłyszane westchnienie Marszałka przed obchodem narodowym:

„I znowu każą mi słuchać „Halki“ albo o polityce rozmawiać z muzykami“.

* * *

Starcie się różnych temperamentów, walka poglądów, była dla Marszałka teatrem szczególnie zabawnym gdy szło o sztukę.

Wielokrotnie przy stole obiadowym dochodziło do krótkich spięć między mną a Kazimierzem Młodzianowskim, który nie uznawał żadnego zdania obcego, jeśli nie musiał go słuchać posłusznie. Każda rozmowa nasza po kilku zdaniach rozbijała się obustronnym zaprzeczeniem. Wynik był niezawodny.

Po latach okazało się, że Marszałek zlecał Kordianowi Zamorskiemu by prowokował te „nasze rozmowy“.

* * *

Byłem w służbie.

Wietrzna była zimowa noc i prawdopodobnie na piętrze Belwederu niespokojna. Wieści z frontu niedobrych nie było. Marszałek, co się bardzo rzadko zdarzało, zszedł do adiutantury. Godzina trzecia. Zrozumiały niepokój: co mogło się stać!

Marszałek milcząc spacerował — jak zwykle. Posłusznie dokładałem smolaki do ognia. Usiadł przed kominkiem. Zrobiło się raźniej. Marszałek, urywkami, jakby rozmawiał z sobą, rzucał luźne zdania.

„No — pewno — jeśli komu dane być wyrazem swego pokolenia, może musieć zniszczyć spadek po swych poprzednikach.

Inaczej możeby i niemógł wydobyć z drugich poświęcenia.

Na pewno — za dużo pokawałkowania człowieka, za dużo gonitwy za chwilą. Na krótki oddech.

Zrozumiałe, że musicie i w sztuce szukać z tego wyjścia A gdy trudno pomyśleć, by się dało wszystkich wtłoczyć w jeden szablon czy styl, musicie szukać stylu każdej rzeczy z osobna, w jej odrębności, innym charakterze.

Każdej rzeczy dać jej własne słowo.

Nielada troska i nie małe zmaganie.

Rozumiem, że musicie szanować wysiłki i nieudane, jeśli one wyzwalają od nawyknień form minionych.

Nie chcecie opowiadać. Słusznie. Musicie budować — aby budowa sama sobą o sobie mówiła. Brak wspólnoty obowiązującej wszystkich każe wam szukać wspólnoty jednostkowej. Szukacie przedmiotu. Tą drogą odnaleźć chcecie wspólnotę nową zarówno jak powszechną.

Wreszcie i ja nic innego nie mam do zrobienia — by przez zbiorowość dojść do bitwy.

Też sztuka...

Rozumiem, że musicie w tym być bezwzględni.

To też jest czarodziejstwo.

Rozumiem, że odrzucając wszystko co nie jest pojęciem sztuki jako

przedmiotu, jest wam bezprawiem wszystko, gdy stoi na zawadzie prawu, które dopiero zbudować chcecie.

Ale czy w zwalczaniu się wzajemnym, nawet w imię sprawy słusznej, potraficie się zatrzymać, by nie zniszczyć zbyt wiele?

Tę trudność ma każda rewolucja. — Nikomu jeszcze nie udało się przewidzieć: gdy w jednym narodzie poczną się ludzie rznąć, przy pierwszej setce ofiar nikt nie wie, na której setce tysięcy się skończy".

* * *

Marszałek wiersze czytywał z niezwykłą plastyką i silną grą twarzy. Teatr dobrze zrobiony mógł w Nim gniew zamienić w śmiech.

W listopadzie 1918 r. przypadło mi zadanie złożenia pierwszego raportu o zażegnaniu proklamowania „niezawisłej republiki krakowskiej", zwanego „Konakiem generała Roji".

Destrukcyjna robota w pierwszych dniach odzyskiwania niezawisłego bytu nie mogła być przejawem lekko spotykanym. A jednak widziałem jak ciężka gorycz znikała z oczów Komendanta, gdy przedstawiałem w skrótach kolejne ubezwładnianie zarządzeń w ową noc pamiętną, kiedy to majaczono o niezawisłej ziemi krakowskiej w oparciu o złudne obliczenia sił i zupełny brak orientacji w ogólnym nastawieniu tych, którzy wówczas zdolni byli do powzięcia decyzji.

Ściąganie do Komendy Korpusu w Krakowie coraz to innych pozostałości armii austriackiej i szybkie unieszkodliwianie ich przez nas, liczenie na oddziały czwartaków i akademickie, którym ani w myśli nie powstało by staczać z nami bój dla generalskich zamysłów, zupełna bierność tych, na których dziwaczne rachuby opierano, miały tyle niezdarności maniackiej, że gmach Komendy Korpusu robił raczej wrażenie domu wariatów.

Obrzydliwość tamtej nocy była większa aniżeli teatralność, ale komizm bardziej wyraźny niż upór.

I teatr tego zamachu przezwyciężył gniew — zamienił go w śmiech...

* * *

Zarząd budynków reprezentacyjnych, korzystając z nagłego wyjazdu Marszałka na front, postanowił wstawić pewne zamki do szuflad stołów w Belwederze ze względu na ważne notatki, które mogły się znaléźć zwłaszcza w gabinecie Naczelnego Wodza.

Zjawił się w tej misji inż. Skórewicz z wtajemniczonym ślusarzem.

Przypadło mi zadanie świadka tego słusznego zabiegu i opróżnienia szuflad.

Wszyscy trzej zostaliśmy jednak silnie zaskoczeni. Na stole leżała spracowana mapa, ale bez oznaczeń. W żadnej z szuflad nie było ani świstka papieru. Jedynie w stoliku przy łóżku leżał tom poezji Słowackiego.

Wtajemniczony ślusarz pokiwał głową, mówiąc: „psiakrew. Ten człowiek nie ma osobistego życia".

* * *

Było rzeczą naturalną, że teatr interesował Marszałka; ciekawiło nie to, co zrobiono, lecz jak to zrobiono.

Wysiłkom współczesnego teatru dawał pełną uwagę, a przekonałem się, że śledził również i możliwości jego rozwoju.

Spotkał mnie niezasłużony zaszczyt, że przez Marszałka byłem dekorowany Krzyżem „Virtuti Militari". Cóż dziwnego, że oczy mi się śmiały; Marszałek spostrzegł to i rzekł: „Nie śmiejcie się Gad, bo i tak dość się z was śmieją za „Dziwną ulicę".

To mnie ośmieliło, aby przy okazji nocnej służby przedłożyć Marszałkowi pracę swoją „Barwa jako czynnik masy", która stanowi jedną z podstaw reżyserii teatralnej, w wyniku której wystawioną została w „Reducie" warszawskiej „Ulica dziwna" Kazimierza Czyżewskiego. Widowisko to wywoływało krańcowo sprzeczne oceny.

Po upływie długiego okresu czasu Marszałek zagadnął:

„Gdzież w tym waszym teatrze miejsce dla człowieka? Czyż uda się wam przerobić aktora, by stał się magiem, który dyryguje kołowrotem mas, stanowiących dramat? — Odklinaczem tajemnic, spięć i odprężeń?"

Słowo przetransponować w gest, rytm i ton".

* * *

Zasłyszana uwaga Marszałka:

„Gdyby to Wyspiański był w pracy. — I samby się odrodził i pomógł".

* * *

W bitwie pod Kostiuchnówką granat uderzył w ziemiankę rzeźbiarza Włodzimierza Koniecznego. Dwóch sierżantów wmazało doszczętnie między dyle drzewne, ale wywalone drzwi zasłoniły rzeźbiarza i kilka ostatnich jego rzeźb wykonanych z plasteliny. Ostały się bez uszkodzeń.

Komendant, patrząc na te prace, ze smutkiem rzekł — gdy już i Konieczny padł: „Tak —pozostał sobie wierny do końca".

* * *

Gdy staliśmy w rezerwach, gromada artystów z szeregu zbierała się nieraz w kwaterze pułk. Śmigłego. Na zebraniach tych bywał i Komendant. Jednego wieczora pozował nawet cierpliwie.

Bywało gwarno. Jarmark naszych sprzecznych pojęć i dążeń. Fanaberie impresjonistów, ironia „wtajemniczonych", którzy z przesadą obstawali przy jednolitości charakteru przedmiotu jako warunku wszelkiej prawdziwej sztuki, pewność siebie u smakoszy akwarelowego mazania, spory gawędziarzy z konstruktorami i konflikty wyobraźni z naiwniactwem stwarzały ten natłok żądań artystycznych, wzajemnie się wykluczających.

Zamęt podsycała dziczyzna żołnierskiego prymitywu.

Komendanta nie odstraszało to. Spędzał długie wieczory w tej właśnie gromadzie. Brał udział w sporach. Dociskał konsekwencję dowodzeń. Docierał do wartości charakteru w formie.

Nie znaczy to jednak, że Marszałek tą wrażliwością na wyraz formy miałby się zawsze powodować.

Pamiętam rok 1910. Stawiłem się przed Komendantem z propozycją, by w skład komisji, przyjmującej do „Strzelca" wchodził plastyk, który „na oko" będzie mógł kandydatów odrzucać. Powodem tego było zjawienie się na walnym zebraniu Oddziału krakowskiego trzech ludzi z wrogim wyrazem twarzy.

Komendant, chodząc wskos pokoju, śmiał się serdecznie z tego pomysłu: „Dyskwalifikować kogoś na podstawie kaprawego nosa!" „Jest ktoś nic niewart, bo się malarzom nie podoba!"

W miesiąc potem dwóch spośród tamtych policja twierdzy Kraków sprzątnęła jako szpiegów rosyjskich.

Przecie natura nie daje nikomu za darmo twarzy prowokatora, twarzy prowokatora lub zbira.

W roku 1915 zjawił się w Brygadzie historyk z twarzą złośliwego lisa i fałszywą ręką. Nie mogłem go nie tępić... Wezwany do raportu usprawiedliwiałem się, że przecie nie bez przyczyny ma tamten wygląd taki, jak ma.

Na to Komendant: „Co? — wciąż jeszcze jesteście więcej malarzem, niż żołnierzem?"

A jednak miałem racje — jak się potem okazało.

Ale, gdy wystawa pośmiertna prac kpt. Wilka-Wyrwińskiego pokazała olbrzymią skalę tego wyjątkowego malarza, Marszałek zrobił spostrzeżenie:

„Ktoby to przewidział takie bogactwo w tak bardzo skromnym człowieku?"

* * *

W dniach tworzenia pierwszego Rządu Polskiego, spełniając misję zgłoszenia sprawy utworzenia Ministerstwa Sztuki, stawiłem się przed Naczelnikiem Państwa.

Uzasadnianie rzeczy Naczelnik przerwał: „Nie trzeba mnie przekonywać. Wiem co sztuce zawdzięczamy, i co ma do zrobienia. Nie wyobrażajcie sobie, aby Państwo teraz mogło w tym wiele uczynić. Ale łatwiej będzie coś utrzymać — niźli po czasie zaczynać".

„Więc ruszajcie Ministerstwo teraz" — „Łatwo je pochwycą. — Nowa teka do obsadzenia.. A wszystko zaczyna się robić wedle partyjnego klucza..."

Ministerstwo zostało uruchomione. A gdy po dłuższym czasie z różnych stron dochodziły niezadowolenie i kwasy, Naczelnik odparł:

„Ktoby z artystami się dogadał. Dogadzało im, iż mają Ministra, który nie zna imion spraw, wchodzących w zakres sztuki, bo mogli nim kręcić... Ale nie było takich, którzyby podjęli ten trud kręcenia. Mają Ministra, który jest w rzecz wdany, też im dogadza. Ale znów brak tych, którzyby go z obłoków sprowadzali do spraw przyziemnych..."

* * *

Z Polesia 1915 r.

Pewnego wieczora porucznik Konstanty Dzieduszycki zjawił się z przybocznym plutonem kawalerii, wyekwipowanym w ogromne czaka w formie konewek, odwróconych dnem do góry i przyozdobionych jeszcze wyższymi kitami.

Cyrk był pierwszorzędny. Od pierwszego spojrzenia przezwano ich „czikosami".

Komendant ze śmiechem oceniał:

„Nie ulega wątpliwości, że nonsens niebywały. Przecie forma musi mieć uzasadnienie — jakiś cel. Jedyną może dobrą stroną tego dziwactwa, że, gdy ci „kościuszkowie" z cesarsko-królewskiej Komendy Legionów zobaczą jeszcze jedną nową formację Pierwszej Brygady — wpadną w szał".

* * *

Marszałek bardzo był wrażliwy na szybką spostrzegawczość. Sam w lot podchwytywał sytuację — a w terenie nigdy nie błądził. Nic też dziwnego, że brak tego zmysłu w innych wywoływał szybkie odruchy.

W bitwie pod Laskami, gdy Komendant z adiutantem przechodził przez otwarte pole, granat uderzył tak blisko, że wywrócił Komendanta, adiutant zaś został zasypany. Ten, gramoląc się spod piachu zapytuje: A — Komendancie — a — do kogo oni strzelają?...

I dostał odpowiedź: „Do licha! czyż nie czujecie w kogo uderzyli..."

* * *

Gdyby się chciało przedstawić naprawdę godną artysty intuicję trzebaby prześledzić cały ogrom pracy Marszałka od podstawy, którą określił słowami:

„Kto nie ma mocy przewidywania, brak mu warunku podstawowego na polityka, jak i wodza. Niech się ima czego innego".

* * *

Z ramienia Naczelnika Państwa wchodziłem w skład „Komitetu odbudowy Wawelu".

Przed pierwszym wyjazdem do Krakowa otrzymałem instrukcję: „Pamiętajcie — manewrować tak, aby na mój rachunek nie poszły wasze inowacje. Co stare, w starości swej ma swoje prawo. W usuwaniu śladów przeszłości sąsiedzi nas i tak już wyręczyli. Co było dzikie, niech dzikiem zostanie. Niech sobie świadczy. Chcecie wypowiadać siebie — macie na to dość miejsca w Polsce".

* * *

Jak przystało na malarza i geografa w jednej osobie, kreśliłem mapę szybko i sprawnie. Swoboda rzucania na papier masy kresek, oznaczających bagna, lub kółek, oznaczających lasy, proporcje napisów, przejrzystość warstwic, właśnie dzięki swobodzie kreślenia dawały mi wyniki efektowniejsze, aniżeli to bywa na polowych szkicach.

Z tego też powodu zakwestionowano raz prawdziwość mojego szkicu. Kontrola wykazała, że jest zgodny. Troska sztabowców została uspokojo-

na, ale przy okazji Komendant zapytał: „Gad — przyznajcie coście tam doblagowali?“

* * *

Przygotowanie wydawnictwa wspomnień „Z bojów Pierwszej Brygady“ dziwnie się przewlekało. Komendant odprawił sprawę jednym słowem: „Niedołęstwo“! Przedstawiłem wówczas mehofferowską zasadę, że na natchnienie czekać nie należy. Siadać — bazgrać — a po godzinie zapomni się o tym, że się pracować nie chciało — i rzecz się zrobi dobrze.

Na to Komendant: „Więc jest sposób! Sosnkowski — rozdziel pracę. — Niech im natchnienie przyjdzie pod przymusem. Termin dwudniowy“.

Przydział odcinków został wytyczony doraźnie. Na trzeci dzień tom był gotów.

* * *

Przypadła mi zaszczytna rola uzyskania u Marszałka zgody na pozowanie Konradowi Krzyżanowskiemu.

Bez żadnych zastrzeżeń Marszałek oświadczył: „Wiem — znam — zrobię — nie mogę tylko zapewnić dnia — może coś zajść“.

Zjawił się Krzyżanowski. Prosił tylko o 15 minut. Pozostawiał Marszałkowi swobodę ruchu i rozmowy.

Potem Marszałek mówił: „Ale dam mu szkołę. Mogę mu pozować i pięćdziesiąt godzin, ale skoro sam chce kilkanaście minut — to trzeba go wystawić na próbę“.

Z okna przyglądałem się temu seansowi, jaki odbył się na tarasie Belwederu.

Marszałek stawał, odwracał się, rozmawiał. Celowo utrudniał zadanie.

Krzyżanowski przy stalugach stał, jak na czatach. Wyślepiał oczy, rzucał się nerwowo do płótna. Wreszcie Marszałek się odzywa, trzymając zegarek w rękach: „No! piętnaście minut gotowe!“

Ale portret był też już gotowy. Tak powstała ta świetna praca Krzyżanowskiego.

JAN STEBNOWSKI

ROZMOWA KOMENDANTA Z FAŁATEM

— Pułk 4 Leg. Pol. zajmował wtedy pozycje nad Styrem (pod Optową) r. 1916. Ja, jako sierżant tego pułku, bawiąc chwilowo w Legionowie, skorzystałem z okazji, aby złożyć wizytę memu dyrektorowi (z Akad. Szt. P.) Julianowi Fałatowi, który wówczas, jako malarz prasowy Legionów Polskich, miał do dyspozycji pracownię, tuż obok Komendy Legionów. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, bawił w tym dniu w Legionowie Komendant i po konferencji, odbytej z gen. Puchalskim, złożył również wizytę Julianowi Fałatowi w jego pracowni.

Dialog, który potoczył się pomiędzy Komendantem a znakomitym malarzem, był prowadzony stojąc i miał charakter rozmowy krótkiej, przemijającej, jak gdyby ją prowadził żołnierz, trzymający właśnie konia za uzdę, aby nań wsiąść za chwilę. Mimo tych okoliczności, słowa Komendanta wiązane w formę obiektywnych zdań, rzekłbyś — zwartych aforyzmów, wyrażały niezwykle bystrą obserwację w dziedzinie malarstwa jako sztuki, będącej w służbie wojennej. Postaram się powtórzyć je z możliwie najtroskliwszym spożytkowaniem moich notatek:

„Malarstwo — jeśli chce wyrazić wojnę, stoi w dzisiejszych czasach przed bardzo trudnym zadaniem" — rzucił Komendant — „dawne motywy z batalij szarż i ataków należą do przeżytków, przede wszystkim dlatego, że upozowaniem bohaterów kłamały bezczelnie; wszystko podciągnięte było jakiemuś tradycyjnemu romantyzmowi, toteż żadnych wzruszeń, któreby płynęły z samego tematu widz nie odczuwał. Ja grozę wojny widzę w strzępach walki, gdzie broń i jej skuteczność nie zawsze jest widoczna, ale jej grozę wyraża **twarz ludzka** lub prężący się w wysiłku natarcia, ruch, innym razem ruch przyczajony w przeczuciu podstępnej akcji wroga — słowem tak, jak Grottger wojnę rysował".

Fałat: „Tak Panie Komendancie, lecz o ile Grottger nie stawiał sobie zadania, które nam podsuwa obecne zmaganie się olbrzymich mas ludzkich bezprzykładnym w historii rozwinięciem środków wojennych — o tyle z drugiej strony żołnierz dzisiejszy w zautomatyzowanej swej roli, nie może nam dostarczyć wyrazu o który chodziło Grottgerowi, z tej prostej przyczyny, że żołnierza dzisiejszych działań wojennych nie cechuje stan takiego psychicznego nastawienia, jak bohaterów Grottgera."

Komendant: „Otóż to,—ma pan słuszność całkowitą, ale w takim razie pozostaje jeszcze obraz polskiej krainy znękanej wojną, wyraz bezwzględnie bardziej wzruszający niż dymy strzelnicze snujące się z ukrycia — dalej posępne obrazy ludu ewakuowanego z ich siedzib i roli, zdarte pociskami lasy, i krzyże — krzyże!"

Na to Fałat z widocznym zażenowaniem, nie bez pewnej jasnej dozy szczerości odpowiedział, że istotnie nic innego na razie nie maluje tylko pejzaż i opustoszałe osiedla.

Komendant kończył popierosa — zanim wyciągnął rękę na pożegnanie zwraca się do mnie: (Fałat przedstawił mię poprzednio jako byłego ucznia) „Pan z 4-go pułku, czy znajduje pan trochę czasu na malowanie?" — „Tak, Panie Komendancie. Pułkownik Roja pozwolił mi malować; maluję sceny z rowów i placówek na razie — pragnę znaleźć jakiś syntetyczny przekrój Grottgerowskiego realizmu, ale czy mi się to uda?..."

— „W takim razie za blisko rowów pan maluje, niech pan zejdzie do etapów, tam znajdzie pan temat. Ja mam w brygadzie szereg młodych artystów — ależ oni tkwią za blisko samej akcji; poza sylwetą mego żołnierza i portretem nie wiele dla nich pozostało tematu".

Komentarz: W związku ze spostrzeżeniami Komendanta, rzuconymi w obrębie czasu wypalenia papierosa — zestawimy fakty. W Muzeum Narodowym w Krakowie, wystawiono bogatą kolekcję obrazów z kampanii legionowej. Bezsprzecznie duże talenty poszczególnych artystów-żołnierzy, nie uchroniły ich od krytyki Komendanta, chociaż z portretów i scen z postojów, schronów i rowów wieje bardzo świadomy, acz z typowo żołnierskim sentymentem spleciony — romantyzm. Postać Komendanta i czyn Legionu Polskiego posiadają dla historii bezsprzecznie duży urok romantyzmu, jednakże to oblicze sztuki, jako dokumenty rzeczywistości wojennej, rzeczywistości takiej, jaką widzieć mogło oko twórczego uczestnika wojny, nie zostało odsłonięte — a raczej zostało

przysłonięte materiałami połowicznymi lub ściślej, — surogatami. Bowiem poszukiwanie ekspresji odpowiadającej dzisiejszym łaknieniom estetycznym i zagadnieniom formalnym w malarstwie wojennym, nie mogło odbywać się w warunkach tych samych, jakie dyktowały tradycje batalistyczne XIX wieku. Tym się tłumaczy charakterystyczne zjawisko, że nikt z malarzy legionowych nie tknął tematu samej walki. Ale bystrość obserwacyj Komendanta znajduje najsilniejsze potwierdzenie właśnie w motywach malarskich dwóch najznakomitszych malarzy, t. j. Fałata i Wyczółkowskiego. Fałat nazajutrz po cytowanej rozmowie, miał do dyspozycji konia z „biedką" (wózek, na którym siedzi się okrakiem) i malował jako „malarz wojenny" strumyk z perspektywą na zgliszcza i kominy chat spalonych i potem malował lasy ogołocone — nierzadko z uciekającą zwierzyną...

Wyczółkowski, na tle poszarpanego krajobrazu malował krzyże: krzyże małe pochylone, krzyże wysokie strzeliste i krzyże świeże — wczorajsze, te — tak bliskie zapomnienia ślady po nieznanych żołnierzach bohaterach. W innych znów motywach drzewo stanowiło zrąb rzeczy malarskiej: drzewo rozłupane, „drzewa zdarte pociskami", lub drzewo-olbrzym które chociaż powalone huraganową burzą ognia, z wyrwanymi korzeniami rosło dalej, trzymając się ziemi dwoma prężącymi się z niezwykłą siłą korzeniami, rzekłby ktoś — z zawziętością godną sprawy żołnierskiej.

Wyglądałoby na to, jakgdyby Fałat i Wyczółkowski nie widzieli innego, godniejszego ich pędzla tematu na wojnie, którą mieli malować zbliska.

Jakież analogje wypływają z tych zestawień, na odcinku umiłowania „**znękanej wojną Krainy Polskiej**" — tam gdzie twórczość odnajduje swój wyraz z jednej strony, w niepospolitej a tak nieoczekiwanej koncepcji Tytana Wolności tej krainy — a z drugiej, w talencie twórczym artystów? Jakżeż trudno będzie piszącemu te słowa, przenieść czytelnika tam nad Styr i w tamte nastroje — daleko od dzisiejszych kategoryj myślenia, aby zrozumiał niezwykłość tego drobnego zdarzenia — zdarzenia, na podstawie którego ośmieliłem się podjąć próby charakterystyki jednego rysu, tak przez Czwartaków Ukochanego Komendanta.

Warszawa, 4.V.1935.

EMIL JERZY CZERNIAWSKI

MIAŁEM SZCZĘŚCIE GO WIDZIEĆ

...że jest i że nami dowodzi, powiedział mi pierwszy ś. p. Walenty Niemczyk, kolega mój szkolny z Krakowa, jeden z pierwszych, który w szeregach Kompanii Kadrowej zginął pod Czarkową. Ale chociaż ś. p. Niemczyk prowadził mnie na ćwiczenia i uczył karabinem się składać, to jednak zapału do wojska wzbudzić nie umiał i straciłem okazję zobaczenia Go, w tej czy innej, strzeleckiej szkole wojskowej.

* * *

W 1914 roku odczytano mi rozkaz strzelecki, podpisany „Mieczysław". Kto jest ten „Mieczysław"... Kto?... pytałem.

— To Piłsudski, obywatelu... Józef Piłsudski...

I tak, nie widząc jeszcze, poznałem Go po raz pierwszy.

* * *

Strudzeni szybkim marszem i mocno podnieceni odgłosami toczącej się już bitwy, przyszliśmy pod Laski — I Baon uzupełniający ś. p. Zygmunta Bobrowskiego, a z nim Kompania Borysławska, w której szeregach na wojnę z Krakowa wyruszyłem.

Bitwa była w pełnym toku. Nieustanny huk armat i szczekot karabinów maszynowych grały nam wezwanie, gdy weszliśmy do wsi, opodal której toczyła się walka.

Mamy w niej wziąć udział, ale na razie zostajemy we wsi jako rezerwa. Rozlokowano nas pod ścianami chałup. Chałupy ustawione po polsku, jedna obok drugiej, szeregiem. Pod każdą z tych chałup sekcje batalionu, w pełnym rynsztunku, w pogotowiu.

Będzie to pierwszy chrzest ogniowy, więc nastrój ogarnia nas i choć nad sobą panujemy, to jednak raz i drugi serce z wrażenia przycicha.

Tak upływają godziny. Ogień na linii to wzmaga się, to przycicha i wieści różne do nas przychodzą — raz złe, raz dobre.

Co to będzie? Pytanie takie od czasu do czasu po głowie się mąci.

Drogą przebiegają w tę i w tamtą stronę ordynansi. Co pewien czas galopem podwożą amunicję, a od linii powoli ciągną wozy z rannymi. Armaty i karabiny grają i warczą nieprzerwanym echem jakiejś nieznanej i niesłyszanej przez nas wrzawy.

Co chwila napada nas myśl, że już jesteśmy tam potrzebni, że już powinniśmy tam iść.

Ale to powie nam Jego rozkaz...

Wreszcie o jakiejś godzinie po południu przyszła wiadomość, że rozkazy już są, ale przed rozkazem jeszcze On sam przyjdzie nas zobaczyć i odprawić.

Niedługo potem przyszedł..

Przechodził wolno przed nami, opartymi plecami o ściany chałup i stodół i wpatrywał się pilnie w nasze twarze. Ubrany był w swój szaro-niebieski mundur strzelecki, bez pasa i broni i tylko ze szpicrutą, którą czasem uderzał po sztylpach.

Z tym i owym zamienił słów kilka przyjaźnie i z uśmiechem. Co mówił — nie pamiętam już, ale do dziś dnia pamiętam to pierwsze moje z Nim spotkanie.

Odniosłem wówczas wrażenie, że ten szary mundur Jego promienieje jakimś blaskiem i ten blask został mi już w oczach na zawsze.

A kiedy tej nocy, gdym jako łącznik od linii bojowej samotny był i w okopie swoim nasłuchiwał głosów o posiłki wołających, a dusza kuliła się nieraz — to spojrzenie Jego oczu przynosiło mi nowe siły i wytrwanie.

* * *

Wracaliśmy po tej bitwie mocno utrudzeni. W odwrocie szliśmy drogą

Świętokrzyską, zdaje się koło Świętej Katarzyny. Dzień był słotny i droga ciężka. Nie jeden raz zaklęło się na tę twardą drogę, bo tornister i karabin ramię ugniatały, a na kwaterę daleko jeszcze było.

Droga biegła wzdłuż wzgórza, wcale wysokiego, które nam horyzont dalszy zamykało i jakby w marszu zapierało dech. I oto w pewnej chwili na tym wzgórzu ukazała się grupa jeźdźców i On na ich czele.

Pokazaliśmy Go sobie wzajemnie i uśmiechnęliśmy się radośnie z tego spotkania...

A potem — dalsza droga nie była już taka ciężka...

* * *

„...Musimy tej nocy przedrzeć się do Krakowa. Wokoło nas i przed nami stoją już albo maszerują oddziały rosyjskie. Mamy się przez nie przebić i jutro być w Krakowie. Ale możemy i nie być!

...Karabin rozładować! Bagnet na broń! Maszerować bez słowa..

Tak nam objaśnił sytuację w Ulinie Małej komendant I baonu ś. p. kapitan Kuba-Bojarski.

— A kto prowadzi?

— Komendant Piłsudski — odpowiedział Bojarski.

— To przejdziemy! — odezwały się w odpowiedzi głosy nasze.

I maszerowaliśmy, jak kazał.

W pewnej chwili przed północą, kiedy księżyc rozjaśnił ciemności drogi — padły strzały. Rzuciliśmy się całą kolumną w przydrożny rów, karabin przygarniając mocniej do piersi... Długa chwila ciszy i niepokoju. Gorączkowa wymiana słów i znów cisza, a potem szeptem rozkaz — „Kolumna, maszerować!“

Maszerujemy znów — cisi i skupieni i na rozstaju dróg widzimy Go przeglądającego nasze szeregi.

Nikt już nie wątpił, że jutro będziemy w Krakowie. I przybyliśmy choć niejednego pod ramiona braliśmy zemdlonego, by go na bezpieczny postój doprowadzić.

* * *

Widziałem Go potem stroskanego w Krakowie, widziałem studiującego mapy z Sosnkowskim na Podhalu, szedłem w defiladzie przed Nim w Kętach i Jędrzejowie, a potem znowu nad Nidą, kiedy dyspozycje na wyprawę dawał, i gdzieś pod Konarami, i w marszu na Lublin, i jeszcze tu i tam w przypadkowym spotkaniu. Bo żołnierz piechoty w kolumnie maszerujący rzadko ma okazję oglądania Wodza.

Maszerowałem przed Nim w defiladzie pod Włodawą, gdziem po raz pierwszy usłyszał dźwięki naszego marsza „My pierwsza Brygada...“, a kiedy niedługo potem rozstał się z nami, to miałem jeszcze szczęście posłować jako kurier od Komendanta I-go Pułku do Komendanta I Brygady, gdy Pułk i Brygada rozłączone były w Trojanówce i w Kołkach — i tam w cza-

sie wojny widziałem Go już raz ostatni, ale zawsze był ten sam, jakim widziałem Go po raz pierwszy pod Laskami.

* * *

W Niepodległej Polsce widziałem Go wiele razy. Widziałem Go i On patrzył na mnie, bom miał szczęście służbę pełnić przy Nim w Belwederze. Były tam spotkania codzienne, często radosne, niejednokrotnie niemal koleżeńskie, raz i drugi niby ojca z synem. Widziałem Go nieraz radośnie mówiącego do nas, kiedyindziej znowu groźnie milczącego... Widziałem, gdy buławę marszałkowską na Placu Zamkowym z rąk wojska brał i kiedy władzę Naczelnika Państwa w ręce ś. p. Gabriela Narutowicza oddawał.

Było to już ostatnie moje spotkanie z Nim w Belwederze. I, gdy tego dnia, wezwawszy nas wszystkich oficerów do Sali Audiencjonalnej Sam dyspozycje dawał, jak uroczystość przejęcia władzy przez ś. p. Narutowicza zorganizować, ażeby ich Warszawa nie widziała za gwałt, jaki na Pierwszym Prezydencie Rzplitej na jej ulicach spełniono — wówczas blaski te rozjarzyły się groźnie, bo wielki musiał być ból, jaki przeżył.

* * *

I tak oto blask ten, który pod Laskami w oczach mi został, zawsze wokół Niego widziałem. Ale wydał mi się on jaśniejszy niż kiedykolwiek, gdy w pełny galowy mundur ubrany, przy szabli, opuszczając Belweder, salutował Prezydenta Rzeczypospolitej, któremu władzę oddał.

Nie na długo niestety.

W dwa dni potem był dzień, który Prezydentowi Narutowiczowi śmierć przyniósł, a On w Adiutanturze Belwederu na fotelu usiadł i głowę na dłoni oparłszy, rozmyślał o tym co się stało. Pochyloną głęboką troską postać Jego osłaniał ten sam blask, jakby Go przed naszymi chciał zasłonić oczami.

Widziałem Go jeszcze w Sulejówku, gdy mnie i innym ściskał serdecznie dłoń, a potem w różnych stronach i okazjach Warszawy.

Blask, który w Nim pod Laskami ujrzałem, nigdy nie stracił swej siły, także i wówczas, kiedy już zmęczonym krokiem, zgarbiony mocno i utrudzony życiem, szedł z Belwederu do Inspektoratu Generalnego.

I nic z tego blasku nie zginęło, kiedym Go po raz już ostatni widział leżącego w trumnie w Sali Audiencjonalnej Belwederu i z tym blaskiem, który spod sztandaru Rzeczypospolitej na Jego trumnę rzuconego świecił — widziałem Go po raz ostatni na Wawelu.

ADAM NIEZABITOWSKI

SPOD KOSZYSZCZA

Trzysta metrów od okopu, w promieniu ognia nieprzyjacielskiego, stała ziemianka, która pomieściła naszą najgłębszą miłość. Była to skromna kwatera Komendanta.

Trudno znaleźć wyraz zatroskania, które z kwaterą tą zawsze się wiązało. Wdzięczność bowiem tak się tu splotła z serdecznością, że każde określenie staje się słabym. Jedynie żołnierską powinnością można to wypowiedzieć. Bo przecie w wojnie europejskiej można było pozostać popychadłem cudzoziemców. Zaś nasz żołnierz swoim prostym spełnieniem honorowego zadania straży obok Piłsudskiego, znalazł to ważkie, świetne a kochane słowo nasze, które jest zarazem i obrazem Komendanta. Jedynie w tym szczerym poznaniu, że własnym wysiłkiem można zdobyć prawo życia i prawo własnej pracy, żołnierz znalazł to słowo. Cześć z miłością, tak powinne w bezwzględnym posłuszeństwie, jak jego upór w pracy, dały ten wyraz. W tym, nie sięgając po ocenę nieprzystojną, określa się wdzięczność, jaką każdy z nas dla Komendanta żywi. Bo żołnierz podniósł oręż, czyli zrobił to, wobec czego wszelkie przekonania upaść muszą, skoro w ten sposób rozwarła się droga czynu. Wobec zaś tej prawdy, że znalazły się ręce, które podniosły oręż, musiały odpaść wszelkie inne pragnienia, zmazane faktem, że leje się krew, że jest więc walka o sprawę najdroższą. A to było proste i mocne jako próba ogniowa, dla której przecie nastał dzień. Komendant w swe ręce ujął myśl tego dnia. Sercem tego dnia musiało się więc stać to niepojęte szczęście, że się w ogóle ma swojego Komendanta. I ten sposób kochania swojej ziemi, czynny, zdolny wszystko przetrwać, był słowem naszego żołnierskiego szeregu, był podniesieniem wzroku na własny sztandar. W tej szczerości leży głębia naszego stosunku do Komendanta. Bo Komendant stał się naszym sumieniem. Gdyby znaleźć słowo surowe a dobre, nieugięte a czułe i wzmóc nim własną myśl równie dobrze oddaną Komendantowi jak naszej sprawie, wówczas możnaby określić ten stosunek jasny, gdzie bezwzględne posłuszeństwo i strach ugruntowane jest nie we władzy czy w wyższości, ale w Komendanta przedstawicielstwie, uosobieniu, któremu nie musi się ale się pragnie ulegać. To sumienie stanowiło nasze dojrzewanie, nasze wygrzebywanie z siebie zdolności charakteru do prawej służby istotnej potrzebie naszego pokolenia. Było to naszym wzięciem w tryby osobistych zachcianek, jakichś tam praw własnych, postawieniem się w szereg z pożądaniem tego bezimiennego numeru, który w szeregu przypadł.

Tę łączność żołnierza z Komendantem budowała każda walka, do której nas prowadził lub przygotował. Każde zadanie przez niego z nami prze-

żyte i obszeptane, stawało się formą naszej ku niemu miłości, nie przez osobiste sympatie, ale przez te właśnie zadania, które nie dziś jeszcze mają się nam kończyć. Niczym stawała się zwięzłość uczuć, która łączy ludzi przez już przeżyte wspólnie trudy, a wyrastał ogrom niepodobieństwa, które stać się dopiero musiało rzeczywistością na drodze przez Niego nam wytyczonej. Przecie trzeba było zapomnieć o wszystkim co by niosło jakąbądź wartość własną.

Cóż więc dziwnego, że w dni ciężkie myśli nasze biegły ku ziemiance Komendanta tak wadliwie stojącej w promieniu ognia. Pamiętam taki dzień, kiedy położenie tej ziemianki wywołało w nas zdecydowany sprzeciw. Po dwóch ciężkich atakach skutecznie odpartych przyszła nieobliczalna noc, w której przetrzymaliśmy trzy ciężkie uderzenia.

Było już zupełnie ciemno gdy na pozycje nasze zwalił się szturm. Las zamienił się w dziwaczny teatr. Granaty rwały snopami żelaza, wrzask łomotu, ludzkiego krzyku i trzasku konarów, tonęły w siekaninie karabinowego ognia i mięszały się w jękliwy skowyt, którego łkania leciały z chichotem pocisków. Przygniatało wrażenie potwornego kłębowiska ludzi, żelaza, drzewa, ziemi wzajemnie na siebie rzuconych, którego groźne skręty wytłoczyć muszą krew i łzy, wszelki głos życia zgłuszając naporem. Gwizd kul krzyżujący się bez przerwy ponad okopami, biczował ucho bez wytchnienia. Kwas ekstrazytu aż dusił, piach uderzeniami rozbity w puch gryzł goryczą, a oczy drgały od śleptania w ciemności lasu szarpanej gwałtownymi błyskami, i od szybkiego przepatrywania przedpola raz po raz rozświetlanego martwym blaskiem rakiet. W blasku dyszących łun gdzieś na tyłach rosyjskich biły fontanny ognia. Rozdzierała się ziemia od salw wśród roztrajkotanej monotonii kulomiotów. Grzechot karabinów, jakby zajadłe szuflowanie przesypywał się z końca okopu w koniec. Na stalowym niebie rude tarcze pożarów wsi Kulikowicze, które to przykucały, to żywszym blaskiem buchały słupem, to znów jakby rozlewały się na sąsiednie sylwety drzew, krok po kroku obejmujące widocznie coraz nowe połacie zabudowań.

Po tej ciężkiej nocy, na dowód, że nie należy robić prób znękania nas bojem, rzucono w odwet wypad krzyżowy dwóch batalionów na pozycje przeciwnika, by go w biały dzień zaskoczyć w chwili luzowania obsady odcinka.

Wynik wypadu był świetny.

Wobec tego miny nasze nabrały równowagi. Rozsądziliśmy w sobie różne względy i obawy, więc i uwierzyliśmy w skuteczność naszego ataku na ziemiankę Komendanta, w przekonaniu, że brygada zarobiła sobie wreszcie na wysiedlenie kwatery Komendy głębiej w las. Tak kazała intuicja, która oczywiście rościła sobie pretensje do nieomylności, tak kazała nam miłość własna w słusznej ocenie zadań, ale wedle miary własnego tylko spokoju.

Poszliśmy do brygady z opowiadaniami niby o przebytej nocy.

Komendant od pierwszych zdań zamysł nasz rozpoznał i ocenił, ale

również tylko wedle miary własnego spokoju: „istotnie w durny sposób ciskają ogniem po tych sosnach jakby mieli do czynienia z durniami, których przepłoszyć można; nieraz gdy chodzę po tym obszarpanym lesie, myślę, jakby to było nie pięknie gdybyście — w razie czego — znaleźli mnie w pozycji zgoła nie bojowej...“

— I określiwszy rzecz krótko a dokładnie jakby dyplomatyczną notę, kazał nam iść, czuwać, by przeciwnik nie zechciał się nam odwzajemnić ponowieniem nagłego uderzenia.

STANISŁAWA MYDLARZÓWNA - TOMCZUKOWA

JAK POZNAŁAM I GDZIE ROZMAWIAŁAM Z KOMENDANTEM

Miałam szczęście kilkakrotnie rozmawiać z Komendantem, a pierwszy raz było to w Lublinie w roku 1915.

Po wkroczeniu Legionów do Lublina, Komendant miał inspekcjonować nasze peowiackie zakłady, koleżanki wyznaczyły mnie do powitania Komendanta w imieniu Oddziału żeńskiego P. O. W. Gdy zbliżała się godzina zapowiedzianej wizyty Dziadka, coraz bardziej przejmowałam się i denerwowałam, chciałam, aby przemówienie moje wypadło krótko, miło i serdecznie — tymczasem, na kilka minut przed wizytą przyszedł jeden z oficerów Brygady i rozpoczął pertraktacje o różne ilości bielizny i t. d. dla swego plutonu, które chciał otrzymać z naszej peowiackiej intendentury. W tym czasie wszedł Komendant i zobaczywszy oficera, zwrócił się do niego rozgniewany: „Jak śmieliście bez pozwolenia oddalać się od oddziału?“ Oficer zaczął się tłumaczyć i usprawiedliwiać — no, a ja, wobec takiego nastroju Komendanta, przemówienia powitalnego nie wygłosiłam, obawiając się, że dostanę naganę za taką mowę. Zameldowałam się tylko — Komendant, wysłuchawszy, zasalutował.

Wieczorem P. O. W. lubelskie łącznie z miastem urządziło uroczyste przedstawienie w teatrze. Nastrój podniosły i radosny, loża Komendanta pięknie udekorowana dywanami i kwiatami. Komendant w otoczeniu oficerów przyjmuje różnych miejscowych dygnitarzy i delegacje. W sąsiedniej loży siedzieli działacze „Wyzwolenia“ — jednocześnie i P. O. W.: ob. J. Poniatowski, Bagiński i inni, ja również, ponieważ wtedy pracowałam i w „Wyzwoleniu“. Jeden z redaktorów lubelskich przyniósł do loży Komendanta pudło czekoladek (dowiedzieliśmy się, że Dziadek je lubi). Cze-

koladki zostały umieszczone na poręczy loży z mojej strony i kiedy Komendant odwracał się co chwilę do wchodzących delegacyj, ja — wtedy znany urwis, też kilka wyjadłam ku zgorszeniu oficerów, znajdujących się w loży Komendanta. Wtedy jeden z nich, ob. Świętopełk, przedstawił mnie Dziadkowi: „Obywatel Komendant pozwoli, przedstawić sobie największego urwisa w Lublinie — ob. Baśka, w przyszłości beliniak“ Komendant zapytał — „Co to znaczy beliniak?“ — „A, bo ja idę do Legionów, Obywatelu Komendancie, — zameldowałem. „Czy dobrodzika nie czytała moich rozkazów, że kobiet nie wolno przyjmować?‘ ‘— ‚Tak jest, Obywatelu Komendancie, czytałam, ale to mnie nie dotyczy“. — „Jakto nie dotyczy?“ — „Bo, jak pójdę do Legionów, to przecież będę żołnierzem, a nie żadną kobietą, a ja żadnej kobiety z sobą nie przyprowadzę“. Komendant roześmiał się na taką argumentację i powiedział: „No, dobrze, ale do piechoty, bo kawaleria to dekoracja wojskowa(mrugając do ob. Wieniawy) i proszę się tam porządnie sprawować“.

(Tu muszę się wytłumaczyć kolegom z piechoty — marzeniem moim od lat dziecinnych było służenie w Wojsku Polskim, wybierałam się od sierpnia 1914 r. do Brygady, ale Komendant Okręgu VIII. P. O. W. nie chciał się zgodzić, twierdząc, że służba wywiadowcza i kurjerska w Oddziale Lotnym i P. O. W. jest jeszcze bardziej potrzebna Komendantowi, niż jeden żołnierz więcej na froncie i przyrzekł, że jak Brygada zbliży się do Lublina nie będzie się sprzeciwiał — no i do Lublina weszli pierwsi beliniacy i zaczęli cuda opowiadać o ich waleczności — ja sobie myślę, przecież Samo-Sierra, nie wiedząc jeszcze, że później o wiele rzeczy musiałabym się konia pytać).

Komendant lubił Lublin i często do nas przyjeżdżał, mówił że dobrze tu odpoczywa po ciężkich chwilach. Kiedyś, po powrocie z Brygady, pędzę Krakowskim Przedmieściem i widzę — idzie Komendant, bardzo się ucieszyłam, ale i zmartwiłam, bo myślę sobie — jak ja mam się ukłonić Komendantowi (bo i żołnierz i peowiaczka) — Mój Boże, dobrze to chłopakom, zdejmie czapkę, albo zasalutuje — a biedny człowiek, przecież kiwnąć głową mi nie wypada, bo przecież tak żołnierz nie wita swego Wodza. Komendant wybawił mnie z kłopotu, bo podchodzi do mnie i mówi — „Dobrze, że Was spotykam, zaniesiecie te papiery (tu wymienił adresy różnych osób) i za godzinę czekam na odpowiedź w restauracji „Victoria“. Odetchnęłam z ulgą i za godzinę meldowałam się Komendantowi z wykonaniem rozkazu.

Kiedy dowiadywaliśmy się, że Komendant przyjeżdża do Lublina, zawiadamialiśmy szkoły i fabryki i z młodzieżą i robociarzami witaliśmy Komendanta z entuzjazmem i z wielką miłością, ogałacaliśmy przy tym kwiaciarnie niemal doszczętnie. Miły był wtedy Lublin.

W roku 1917, przed Magdeburgiem, przyjechał Komendant i rozeszła się wiadomość, że na odpoczynek i jakoby Liga Kobiet ma się tym zająć. Zastanowiwszy się, doszłam do wniosku, że Komendant nie odpocznie do-

brze na takim oficjalnym wypoczynku, że P. O. W. lepiej to zorganizuje — bardziej konspiracyjnie. Odbyłyśmy naradę z koleżanką-peowiaczką, ob. Hanką Bukowską i postanowiłyśmy zaprosić Komendanta do jej rodziców na wieś pod Lublinem. Rodzice oszołomieni byli naszym projektem i powiedzieli, że bardzo proszą, o ile Komendant Piłsudski się zgodzi. Wydawszy w domu zarządzenia, co do przygotowania pokoi, popędziłyśmy zaprosić Komendanta. Ja meldowałam Dziadkowi, że to prawdziwa wieś, że są krowy, agrest, zły pies (nikt nie wejdzie i nie dowie się, gdzie Komendant wyjechał), że będą papierosy i czekoladki (rewanż za te wyjadane w 1915 r.). Komendant, po wysłuchaniu, powiedział: „To jest bardzo zachęcające i krowy i zły pies i agrest — ja się namyślę", ja na to — „no to zgoda Obywatelu Komendancie" i łap za walizkę. Na to Komendant—„No, dobrze, za godzinę, trzeba formalności hotelowe załatwić, ale — a czy jest tam kto starszy w domu?" Hanka, bardzo przejęta, powiedziała, że są rodzice i bardzo proszą. W godzinę potem meldowałyśmy się z powozem i bocznymi drogami (przyrzekłyśmy Komendantowi tajemnicę, że nikt nie będzie wiedział, gdzie Komendant wyjechał), zawiozłyśmy Komendanta na 10-dniowy odpoczynek. Prasa, t. zw. opozycyjna wypisywała później niestworzone brednie o wyjeździe Komendanta do Rosji i t. d. — musiałam aż kiedyś szyby wybijać w jednej redakcji, żeby się uspokoili.

Przez całe 10 dni widywałyśmy Komendanta codziennie, był w pysznym humorze, interesował się życiem na wsi, zbiorami, nawet smażeniem konfitur, — jeździł bryczką w pole z ojcem Hanki. Przed wyjazdem do Warszawy, wyraził Komendant chęć odwiedzenia Jastkowa pod Lublinem i pokazywał nam, gdzie jakie kompanie stały, jakie straty były i gdzie Komendanta osobiście ostrzeliwali Moskale.

Były to bardzo miłe i niezapomniane chwile, jeżeli za bardzo dokazywałyśmy, rozradowane obecnością Komendanta, stawiał nas na baczność i polecał matce Hanki wydać nas za mąż, bo: „Dziewczyny rozpuszczone, jak dziadowskie bicze", ja protestowałam, że „Dziadkowskie przecież i że my nie mamy czasu wychodzić za mąż, bo się Polska robi". — Komendant śmiał się i machał na nas ręką, mówiąc, że z tymi dziewczynami, to nie można sobie poradzić. Pamiętał Komendant, że pozwolił mi iść do Brygady i wypytywał w jakim pułku służyłam, w jakiej szarży, ile czasu — jakie bitwy przeszłam. Na kurtce strzeleckiej nie nosił Komendant żadnych odznaczeń tylko Parasol strzelecki, myśmy uważały, że to mało, że powinien Komendant nosić Krzyż I-ej Brygady(my t. zn. peowiaczki i peowiacy nosiliśmy na kołnierzach malutkie fotografijki Komendanta, znamionujące naszą przynależność polityczną) i pewnego razu zaindagowałyśmy Komendanta, czy jest Piłsudczykiem, — Komendant zasępił się, pomyślał i powiedział: „Jestem ale żadnych odznak nie będę nosił".

Po wyjeździe Komendanta do Warszawy, nastąpił Madgeburg. Adiutantem Komendanta był wtedy ob. Świtek-Miedziński, który wtedy razem z Komendantem mieszkał u nas.

W czasie wojny polskiej pracowałam w ścisłym Sztabie Operacyjnym 1-ej Dyw. Leg. Pol. i Komendant często do nas przyjeżdżał na front (Żytomierz, Kijów, Lida). Po zakończeniu wojny przyjechał Komendant dekorować sztandary pułkowe Krzyżem „Virtuti Militari"; wchodząc na salę, gdzie wszyscy „na baczność" oczekiwaliśmy Komendanta, zobaczywszy mnie, Komendant wykrzyknął „O Baśka", a ja „Obywatelu Komendancie, melduję posłusznie, panna Basia, bo wszyscy się do mnie spoufalą". Komendant roześmiał się, machnął ręką i powiada — „Co tam panna, trzeba wyjść za mąż i mieć dzieci (oficerowie dodali — żeby rasa nie zginęła).

Ostatni raz rozmawiałam z Komendantem w 1934 r. Chciałam bardzo zostać starostą powiatowym w jakimś najbardziej kresowym powiecie, wszyscy twierdzili, że pewno Komendant się nie zgodzi (zawsze mi to dziewczyństwo przeszkadza), więc zameldowałam się i zapytałam, Komendant jednak odpowiedział — „Nie, nie zgadzam się, przed paniami są inne możliwości, pierwsza kobieta została rzeczywistym profesorem politechniki".

R. W. HOROSZKIEWICZ

ALBUM IMIENINOWE...

Poza codzienną twardą pracą, poza codziennym realizowaniem Jego myśli i wskazań, — pozostało nam. żołnierzom Komendanta, jeszcze jedno...

Chodzić, aż po koniec dni naszych, ścieżkami wspomnień ,i zbierać, i notować Jego ślady, i wspominać osobiste zetknięcie się z Nim, — aby to wszystko przekazać potomności... Aby jak najdokładniejszymi były dzieje Jego prac, i opisanie dni Jego żywota, — i tych, z czasów pełnej już Jego wielkości, i tych, z czasów, — jakże romantycznych, — czasów naszych młodzieńczych, czasów I Brygady.

Jest zaś taki dzień w roku, w którym wspomnienia te po prostu same nadchodzą, w którym nie można nie wspominać.

Dzień, najściślej z Józefem Piłsudskim związany, dzień Jego Imienin, dzień 19 marca.

Imieniny Komendanta uroczyście obchodziła I Brygada w 1915 roku, w Grudzynach nad Nidą.

I została po nich też pamiątka mała, drobny dar żołnierski, studenckim sentymentem tchnący, — szary album, ofiarowany Mu przez III Batalion.

Znajduje się on dzisiaj w Belwederze, w Muzeum Józefa Piłsudskiego, i zadziwia, i zastanowić się każe temu, kto baczniej mu się przyglądnie.

Przede wszystkim napisem tytułowym samym: 1915, — Naczelnikowi Józefowi Piłsudskiemu, — dnia 19 marca, — III Bataljon 1 pułku Wojsk Polskich". Taki napis wyraźnie i dumnie głosi, czym była zawsze I Brygada.

A okładkę, szarą, polową okładkę, obramowuje z jednej strony czerwony

zygzak oficerski i gwiazdka podporucznika, z drugiej strony też czerwone, takie same jak dzisiaj, trzy paski sierżantowskie. W środku orzełek, stary strzelecki orzełek, z „S“, i z 17 kropkami na obwodzie tarczy... Drobnostki to (i z dzisiejszej perspektywy jakże, nieraz umyślnie, zatrzeć usiłuje się ich wiele), ale to były właśnie te nasze odrębności, te polskiego wojska jedyne znaki, które narażały, i które ostro biły w oczy, i które wcale życia nie ułatwiały.

Oglądam album z dyrektorem Muzeum Belwederskiego, ppłk. Adamem Borkiewiczem, i wspominamy... („pamiętasz“, stałe „pamiętasz...“) i objaśnia nam dr. Józef Kluss, kustosz tego Muzeum, również żołnierz niegdyś III Batalionu. — On to przecież jest owych czasów żywą, fotograficzną kroniką, — on szary papier na to album kupował w Jędrzejowie, jego roboty są prawie wszystkie fotografie w albumie umieszczone. Jest ich zaś 20 („ale nie wszystkie moje“ — podkreśla dr. Kluss raz jeszcze).

Przeglądamy kartkę za kartką...

Na pierwszej symboliczny rysunek: młodzieniec grecki, na koniu rozwichrzonym, z wzniesionym mieczem w dłoni, — podpis „A. M. Pawłowice“... Czyżby rysunek Antka Miszewskiego? Najprawdopodobniej... Jest winiet więcej, ale nie podpisane. Mapa tylko „Drogi III Batalionu od 6.VIII.1914 do 19.III.1915“ sygnowana jest jako praca kpt. Scewoli-Wieczorkiewicza. (Data: Mierzwin, 14.III.1915).

Wstęp. Historia III Batalionu od I Kadrowej Kompanii, którą sam Komendant Piłsudski zorganizował, i na „baczność“ postawił, jedyną napewno kompanię w życiu, nim ją ob. Kasprzyckiemu oddał...

Czytamy: — „Gdy Twa wola niezłomna, powołała nas osiem miesięcy temu do nowej wojny o Niepodległość naszą ,pierwszymi z Twoich żołnierzy, którym szczęście przypadło sformować się w jednostkę bojową, przejść wraże kordony, bić się z Moskalami, byli żołnierze dzisiejszego III batalionu 1 pułku piechoty polskiej...“

I idą dzieje trzech Kadrowych, — pierwszej — Kasprzyckiego, drugiej — Zosika-Tessary, i trzeciej — Scewoli-Wieczorkiewicza, — które w Kielcach pamiętnego 12 sierpnia 1914 roku, pierwszy bój w wojnie o Wolną Polskę stoczyły. I które wtedy liczyły 462 strzelców (pełniących funkcje oficerskie i szeregowych). Dowodził nimi w tej bitwie ob. Szef Sosnkowski, na drugi dzień zaś ob. Komendant III Batalion z nich utworzył i ob. Śmigłemu go oddał. Z końcem sierpnia 1914 r. liczył już Baon 502 ludzi (w tym 24 oficerów), a dnia 19.III.1915 r. — 566 (w tym oficerów 21).

Służba bojowa...

— „Batalion III miał szczęście spełnić swą powinność...

... pod Opatowem i Nowym Korczynem, pod Uciskowem i Stróżyskami, pod Garbatką, pod Anielinem... (gdzie to ob. Śmigły w pierwszym szeregu wiódł swych strzelców do ataku...), pod Laskami, i pod Brzechowem, w marszu przez Ulinę, w wypadzie na Chyżówki... (cały szwadron jazdy wzięty do niewoli), w szeregu walk dalszych koło Limanowej i Nowego Sącza, i wreszcie w bitwie pod Łowczówkiem, w której III Batalionowi przypadł zaszczyt decydującego ataku...“

Tyle treści wstępu, dziejów III Batalionu w ciągu ośmiu miesięcy, — a dalej kartka za kartką podpisy i fotografie... Podpisy wszystkich, oficerów i szeregowych batalionu, fotografij — tylko 20.

Pierwsza więc, pierwszego dowódcy batalionu od 13.VIII.1914 roku — Edwarda Śmigłego-Rydza, który 20.XII.1914, 1 pułk objął, i adiutanta pierwszego, ob. Nilskiego-Łapińskiego, i drugiego — por. Dąbrowy-Młodzianowskiego. I drugiego dowódcy — por. Burhardta Bukackiego, który 28.XII.1914 — I Ba-

talion w 1 pułku piechoty otrzymał (jako kapitan już) a II Baon trzeciego dowódcę dostał, który aż do końca nim już dowodził, — kapitana Wacława Scewolę-Wieczorkiewicza. I adiutant, tak długo się też utrzymał, od grudnia 1914 r., jeden i ten sam, podporucznik Mieczysław Wyżeł-Ściężyński.

Wiersz też wpleciony w szeregi podpisów, i grupy fotograficzne, wiersz bezimiennego autora, p. t. „Na Warszawę..".

A obok zdjęcie grupy oficerów III Batalionu w Mierzwinie, z pierwszych dni marca 1915 r. I na końcu zdjęcia z życia batalionu. Dwa charakterystyczne bardzo. Strzelec, żołnierz III Batalionu przed rzeźbami swymi w piasku okopów. Główka dziewczęca w piasku ryta. Przekazała nam fotografia twarz rzeźbiarza, i rzeźbę jego w piasku... ale nazwisko w nicość gdzieś zapadło...

Oglądamy to album imieninowe z 1915 roku, my, dawni żołnierze III Batalionu, — jakże pozornie odlegli dzisiaj od owych czasów.

I wspominamy...

Nazwiska kolegów, i wypadki ówczesne, i chwile z dni tamtych.. .

Dzień imienin przede wszystkim Komendanta w 1915 roku...

I jak Mu to właśnie album wręczał ówczesny 1 pułku dowódca, Edward Śmigły-Rydz... Z przemówieniem odpowiednim... (A Kaden nie zanotował przemówienia ówczesnego, dzisiejszego Marszałka Polski...).

Przeglądamy kartkę za kartką...

Trzeba jednak już kończyć, trzeba wspomnienia przerwać, i żywą wiecznie ich treść zachowując w pamięci, album imieninowe III Batalionu z 19.III 1915 r., złożyć w miejscu należnym mu — w Muzeum Belwederskim.

Wśród setek i tysięcy darów imieninowych, wśród przedmiotów bardzo cennych nieraz, i z różnych nawet części świata pochodzących, ono jednak było darem najpierwszym...

TADEUSZ KORNIŁOWICZ

POŻAR ZUŁOWA

„Chciałbym w narodzie polskim widzieć psychologię szeregowca, który nawet przy nieszczęśliwych rezultatach bitwy zachować musi spokój i nie tracić nigdy nadziei".

J. Piłsudski.

Ze wszystkich pomników ku czci Józefa Piłsudskiego, jakie na polskiej ziemi wyrosły, lub dopiero kiełkują w zamiarach i planach, jeden jest szczególnie symboliczny i przejmuje głębokim wzruszeniem. To zgliszcza dworu w Zułowie, gdzie urodził się i przeżył dzieciństwo późniejszy Marszałek Polski, Naczelny Wódz i Naczelnik Państwa. Ruiny i zgliszcza domu rodzinnego Człowieka, który dźwignął Naród z ruin i zgliszcz niewoli.

Dnia 10 października 1937 roku odbyła się uroczystość poświęcenia tych zgliszcz, jako jednego z pomników Polski niepodległej, pomnika zwycięstwa.

Słoneczny jesienny dzień. Złocą się liście brzóz i lip. Suną barwne poczty chorągwiane, wśród szarego tłumu okolicznych włościan. A między nimi barwią się mundury wojska i stowarzyszeń wojskowych, profesorskie togi i liturgiczne szaty duchowieństwa. „Naród" ciągnie ku tym zgliszczom, w dawnym parku, nad brzegiem rzeczułki. Ruiny fundamentów odnowione, obramowane granitem. Na ociosanym cokóle kamiennym, Msze Święte odprawiają biskupi. Grają orkiestry wojskowe. Z mównicy przemawia minister, prezes rezerwistów i peowiaków. Padają słowa mocne, czerpane ze źródła rzetelnej myśli i podniosłego natchnienia: z pism samego Marszałka.

Nagle uderza w niebo hymn: „Boże coś Polskę", śpiewany chórem przez wszystkich obecnych. Pan Prezydent Rzeczypospolitej zasadza dąb złotolistny między ruinami fundamentów, w miejscu, gdzie stała kołyska Ziuka. Ten hymn-modlitwa powstańców 63 roku wybucha jak z podziemi, szeroko rozbrzmiewa nad resztkami murów domostwa, gdzie przed laty była śpiewana tajemnie, zanim stało się ono pastwą pożaru. Rozbrzmiewa w odmiennych już niż wówczas słowach: „Ojczyznę w o l n ą pobłogosław Panie".

Jakże to pisał o tych czasach, po latach prawie czterdziestu, sam Ziuk, organizator walki orężnej z caratem?

„Urodziłem się w szlacheckiej rodzinie, której członkowie, zarówno z tytułu starożytności pochodzenia, jak i dzięki obszarowi posiadanej ziemi, należeli do rzędu tych, co niegdyś byli nazywani bene nati et possesionati.

Jako possesionatus nie zaznałem długo żadnej troski o materialne rzeczy i otoczony byłem w dzieciństwie pewnym komfortem. A że rodzeństwo moje było liczne i rodzice nasi względem nas byli bardzo łagodni i serdeczni, mógłbym nazwać swe dzieciństwo sielskim anielskim.

Mógłbym — gdyby nie zgrzyt jeden, zgrzyt, który sępił czoło ojca, wyciskał łzy z oczu matki i głęboko się wżerał w mózgi dziecięce. Tym zgrzytem było świeże wspomnienie o klęsce narodowej 1863 roku" *)

Ojciec Komendanta, były komisarz cywilny Rządu Narodowego na Żmudzi, po powstaniu jął się za przykładem innych ocalałych obywateli polskich, „pracy organicznej". Rozbudował gospodarkę rolną, hodowianą, przemysłową. Aż pewnego lipcowego dnia 1874 r., spłonęło wszystko: stary i nowy dwór, stajnie, obory, młyny, gorzelnia, las. Pozostały same zgliszcza... Kompletna ruina majątkowa.

Czy 7-letni Ziuk, patrząc na płomień, pożerający siedzibę rodzinną, nie zahartował w tym ogniu swej duszy, uodparniając ją na wszelkie późniejsze straty życiowe? Czy nie zrównał się przez to w swoim mniemaniu z powstańcami 63 roku, którym pozostały tylko ruiny i zgliszcza? Czy pło-

*) „Jak stałem się socjalistą" — 1903.

mienie, trawiące dobytek Polski po latach w ziemi sandomierskiej i lubelskiej, i wszędzie tam, gdzie „palec Boży dotknął ziemi“, nie stawiały mu przed oczy pożaru, przeżytego w dzieciństwie? Czymże jest nawet największa strata materialna, wobec niewoli całego Narodu? I czy twarde słowa, rzucone jako drogowskaz kształcenia charakterów: „Być zwyciężonym, a nie ulec, to zwycięstwo“, nie pochodzą od płomyków, liżących w Zułowie zetlałe zgliszcza?

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Kiedyś, po latach, w lipcu 1915 roku, daleki krewny Piłsudskich, a przyjaciel Ziuka, wielki artysta i wielki Polak, Stanisław Witkiewicz, tak pisał w liście z Lovrany, gdy Komendant na czele brygady Legionów gonił Moskali wśród płonących zgliszcz ziemi sandomierskiej i lubelskiej:

„Kozietulski ze swymi 120 szwoleżerami więcej zrobił dla Polski, niż wszystkie fabryki, banki, młyny, założone przez Lubeckiego, koleje, budowane przez Kronenberga, niż wszyscy razem ludzie trzeźwi i realni. Czyn Piłsudskiego jest potężną dźwignią, która wyważyła z bezdni niewoli i upodlenia Polskę“.

Czyn ten był nie tylko przejawem romantyzmu: był czynem trzeźwym i realnym.

Józef Piłsudski nazywał siebie romantykiem co do celów, pozytywistą co do środków. Przechodził łatwo nad stratami materialnymi i mężnie, po żołniersku, znosił zmienność losu. Ale umiał realizować pozytywną „pracę organiczną“: kładł n o w e f u n d a m e n t y pod rozbudowę Rzeczypospolitej.

Życie n o w e j Polski tętni na dawnych ruinach i zgliszczach. Start tej drogi do wielkości zaznacza skromny pomnik Zułowa.

Symbolizuje on m o c d u c h a ż o ł n i e r s k i e g o: ODPORNOŚĆ NA KLĘSKI.

JAN PUDEŁEK

„NIE MOŻE BYĆ LITOŚCI DLA ZŁODZIEJÓW DOBRA PUBLICZNEGO W POLSCE"

W czasie jednego z nocnych dyżurów w 1920 r. wezwany zostałem przez dyżurnego urzędnika wojskowego do aparatu Hughesa, celem przeprowadzenia pilnej rozmowy. Mogła być godzina 2-ga lub 3-cia po północy

Zwracał się kardynał ks. Dalbor, a następnie prezydent Poznania, p. Drwęski, a bodaj i minister b. dzielnicy pruskiej, p. Kucharski, do Naczelnika Państwa z prośbą o ułaskawienie skazanego tegoż dnia wieczorem ppor. N. N. na śmierć przez rozstrzelanie za sprzeniewierzenie podków końskich, których wartość oceniona została przez rzeczoznawców na przeszło 2.000 mk. Ponieważ podsądny ma być o wczesnej godzinie rannej rozstrzelany, przeto petenci proszą o natychmiastową decyzję.

Prosiłem rozmówców o zaczekanie przy aparacie, sam zaś, wziąwszy naklejoną na blankiecie rozmowę, skierowałem się po schodkach, którymi miał w 1830 r. uciekać W. Ks. Konstanty, na 1-sze piętro pałacu belwederskiego — do sypialni Naczelnika Państwa.

Komendant, który położył się koło godz. 1-szej, spał już w najlepsze pierwszym, twardym snem. Toteż z pewnym ociąganiem przystąpiłem do spełnienia obowiązku. Zapaliłem lampkę na nocnym stoliku i szeptem zwracam się do śpiącego Naczelnika Państwa:

— Komendancie!

I po chwili drugi raz głośniej:

— Komendancie!

A gdy i to nie pomaga, lekko szarpię za rękaw nocnej koszuli.

Komendant się budzi, przeciera oczy, na pół przysiada i od razu przytomnie pyta:

— Co macie do powiedzenia?

Referuję krótko:

W Poznaniu został ppor. N. N. skazany wieczorem przez sąd polowy na śmierć przez rozstrzelanie za sprzeniewierzenie podków końskich wartości ponad 2.000 mk. Wyrok ma być nad ranem wykonany. Prymas, kardynał Dalbor, prezydent Drwęski i minister Kucharski proszą o ułaskawienie podsądnego i oczekują na decyzję przy aparacie.

Z uwagą wysłuchał Komendant meldunku i krótko odpowiada:

— Nie!

Pośpieszyłem z odpowiedzią: Naczelnik Państwa odmówił ułaskawienia skazanego.

Następnego dnia zameldowałem o tej sprawie bezpośrednim władzom przełożonym. Fakt odmówienia łaski na interwencję tak wpływowych osób w Poznaniu i b. dzielnicy pruskiej, jak kardynał Dalbor i prezydent miasta Drwęski, wzburzył mocno umysły otoczenia Naczelnika Państwa.

Przy obiedzie wywiązała się na ten temat rozmowa, w której ś. p. kpt. Nałęcz-Korzeniowski w słowach jak najbardziej oględnych starał się zwrócić Komendantowi uwagę na to, że ułaskawienie tego oficera mogłoby zjednać Mu wpływowych w Poznańskiem ludzi, wrogo dotąd się odnoszących.

Naczelnik Państwa zmarszczył groźnie brwi i spod nastroszonych wąsów, zagniewany, rzucił:

— „Nałęcz, Wy wiecie, jak Was lubię! Otóż gdyby chodziło o ułaskawienie nie kogoś innego, jak Was, to zaręczam, żebym Was także nie ułaskawił. Nie może być litości dla złodziejów dobra publicznego w Polsce. Na to ustawa o karaniu tych przestępstw ukazała się, by ją ściśle wypełniać i wyplenić w państwie złodziejstwo.“

Istotnie nie zdarzyło się, by ktokolwiek, skazany na zasadzie słynnej w 1920 r. „sierpniówki“ (Ustawy sierpniowej o karaniu przestępstw sprzeniewierzenia dobra publicznego wartości ponad 2.000 mk.) został przez Naczelnika Państwa ułaskawiony. Ustawa ściśle była wykonywana, bo na straży stał Naczelnik Państwa oraz Minister Spraw Wojskowych, Kazimierz Sosnkowski, który był jej inicjatorem.

T R E Ś Ć :

NUMER NINIEJSZY POŚWIĘCILIŚMY CAŁKOWICIE PAMIĘCI KOMENDANTA — PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO.

SPRAWY DNIA POWSZEDNIEGO, JAK AKTUALNE ZAGADNIENIA, ODPOWIEDZI REDAKCJI I KOMUNIKATY ZOSTAŁY ODŁOŻONE DO NUMERU NASTĘPNEGO.

NUMER NINIEJSZY OTRZYMUJĄ JESZCZE, PODOBNIE JAK NUMERY POPRZEDNIE, BEZPŁATNIE WSZYSCY ZRZESZENI LEGIONIŚCI I PEOWIACY.

POCZĄWSZY OD NUMERU NAJBLIŻSZEGO ŻOŁNIERZ LEGIONÓW I P. O. W. BĘDZIE WYSYŁANY TYLKO TYM KOLEGOM, KTÓRZY WPŁACĄ ZAŁĄCZONYM BLANKIETEM NADAWCZYM P. K. O. KWOTĘ PRZYNAJMNIEJ 1 ZŁ JAKO PRENUMERATĘ ZA ROK BIEŻĄCY (NR KONTA P. K. O. 1914).

KOLEDZY, DLA KTÓRYCH I TA DROBNA KWOTA BYŁABY ZBYT WIELKIM WYDATKIEM, WINNI WPŁACIĆ JAKĄKOLWIEK NIŻSZĄ KWOTĘ, LUB TEŻ ZAWIADOMIĆ PISEMNIE ADMINISTRACJĘ O ZUPEŁNEJ NIEMOŻNOŚCI OPŁACANIA PRENUMERATY. TYM KOLEGOM ŻOŁNIERZ LEGIONÓW I P. O. W. BĘDZIE WYSYŁANY BEZPŁATNIE.

KOLEDZY, KTÓRZY W OGÓLE NIE ODPOWIEDZĄ NA POWYŻSZY APEL, STWIERDZĄ TYM SAMYM, ŻE NIE ŻYCZĄ SOBIE OTRYMYWAĆ NADAL NASZEGO WYDAWNICTWA.

W KORESPONDENCJI Z REDAKCJĄ NALEŻY PODAWAĆ SWÓJ PRZYDZIAŁ ORGANIZACYJNY (KOŁO PUŁKOWE, PLACÓWKA P. O. W.).

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ZIELNA 45, tel. 581-79

Sekretarz Redakcji przyjmuje we wtorki i czwartki od godz. 9 do 11

Wydawca: KOMENDA NACZELNA ZWIĄZKU LEGIONISTÓW I ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU PEOWIAKÓW

Redaktor odpowiedzialny: WACŁAW JANKIEWICZ

Drukarnia „Polski Zbrojnej". Warszawa, Krakowskie Przedmieście 33.